Zeszyt 2. Lwów dnia 10. Stycznia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata
kwartalnie 3 złr. = 6 mark.
półrocznie 6 złr. = 12 mark.

Wychodzi
dnia 1go, 10go i 20go
każdego miesiąca.

W. Maniecki
Wydawca i odpowiedz. za Redakcją
we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i Inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

VII.

(C. d.) Master Brown był bogaty, ale mimo to nie zażywał sławy obywatela prawego. Co właściwie złego uczynił, nikt nie umiał dokładnie powiedzieć, chociaż każdy na wzmiankę o nim dwuznaczną robił minę. Jedni utrzymywali, że przed laty dwudziestu, milionowy dziś kupiec a ongi biedak, dorabiał się w Indjach majątku tym sposobem, że powstańcom broni dostarczał, co równało się zdradzie; inni zaś twierdzili, że master Brown był w Indjach prostym lichwiarzem, a tak bezmiłosiernym, że pewien lord, któremu wydarł cały majątek, z rozpaczy odebrał sobie życie. Cokolwiekbądź, ojciec złotowłosej Ellen nie miał dobrego imienia, a chociaż świat kupiecki, związany z nim tysiącem interesów, wcale go nie unikał, za to arystokracja patrzyła nań okiem, w którem obok dumy malowała się wzgarda

Jak go to bolało, tylko on wiedział jeden.

Dumny sam nad wszelki wyraz i dążący coraz wyżej, master Brown uzyskawszy miliony, zapragnął potem zaszczytów, stanowiska i przynajmniej krzesła w izbie gmin, kiedy izba lordów była dlań na wieki zamkniętą. Odepchnięty wszędzie, łudził się jakiś czas nadzieją, że przy pomocy złota powiedzie mu się wcisnąć między starą arystokrację; gdy jednak i to zawiodło, wszędzie bowiem zastał drzwi zamknięte, powiedział sobie, że co się nie udało jemu samemu, to mu się powiedzie przy pomocy córki. Aby tem łatwiej zamierzony cel osiągnąć, dał jej wychowanie jak najstaranniejsze i nauczył ją patrzeć na gmin z lekceważeniem, wzdychać zaś tylko do sfer wyższych. Młoda główka przesiąkła prędko zasadami arystokratycznemi tak dalece, że każdy nie lord nie zasługiwał w jej mniemaniu nawet na spojrzenie.

Synowie kupców bogatych zgłaszali się przez osoby trzecie z zapytaniem, czy piękna Ellen nie zechciałaby raz na zawsze porzucić stanu panieńskiego — na co ona im odpowiadała, że są szaleni. Bo czyż mogłaby pokochać plebejusza!

Młodzież City otrzymawszy taką odpowiedź, zaczęła zwracać w inną stronę ogniste spojrzenia, a miss Ellen pozostała nadal panną czekając na lorda.

Wszakże lord jakoś się nie zgłaszał, co w końcu ojca niepokoić zaczęło. Córka była jeszcze młoda i piękna, ale piękność zawisła od młodości, a młodość u kobiet tak prędko przemija! Dziś kwiat zaledwie rozwinięty, który wszyscy uwielbiają, jutro łodyga sucha, na którą nikt nie spojrzy. A jeżeli teraz, gdy Ellen jest młodą, piękną i bogatą, nikt taki się nie zgłasza, którego wybrać by mogła, to czy zgłosi się wtedy, gdy Ellen będzie tylko bogatą.

Takie myśli dręczyły ojca i kto wie, czy nie byłby nareszcie żałował, że jedynaczce dał wychowanie niestosowne, gdyby pojawienie się Stanisława Wybickiego, utwierdzając go w dawnych przekonaniach, nie było w nim odżywiło gasnących już nadziei. Młody cudzoziemiec był dlań zjawiskiem upragnionem.

Dowiedziawszy się za pośrednictwem swego adwokata, że Stanisław pochodzi w rzeczy samej z rodziny senatorskiej, master Brown ułożył sobie w jednej chwili cały plan na przyszłość.

— Będę go przyjmował grzecznie — mówił sobie sam w duchu — niech się poznają bliżej i porozumieją, ale w kantorze nie dam mu lepszej posady, bo mógłby czuć się zadowolonym, tu zaś potrzeba, żeby pragnął pieniędzy. Chociaż jest oszczędny, trudno przypuścić, by wyżył z czterech funtów, wszak miesiąc tak długi! rad nie rad będzie więc pożyczał, a to go zmusi do decyzji, jeżliby co innego odrywało go odemnie. Jak mi mówiono, i o ile ja sam mogłem już zauważyć, ci Polacy mimo całej nędzy są dumni.. istni królowie w łachmanach... Jeśli by co niekorzystnego usłyszał, kto wie, czy nie zechciałby się cofnąć... Ale nie, to być nie może! Miljony... miljony!... Gdy Ellen wyjdzie za niego, wyrobię mu amnestję, tytuł hrabiowski, a potem naturalizację w Anglji i zięć mój będzie lordem.

Oto powody, dla których biednego pomocnika swojego rachmistrza, zapraszał do siebie na objady i jedynaczce pozwalał przyjmować go w panieńskim salonie, gdzie młodzi ludzie wieczorem pijali herbatę, gdy tymczasem on sam rozprawiał w klubie o polityce i bawełnie.

VIII.

Smutnym jest Londyn ze swoją mgłą wilgotną, z pałacami ciemnemi i ludnością wiecznie kupczącą, jeżeli ten, kto w nim zamieszka, mając inne dążności i przekonania, musi od rana do nocy ocierać się o te figury suche, sztywne i milczące, które świat Anglikami nazywa. Inaczej jednak przedstawia się ten sam Londyn każdemu młodzieńcowi, chociażby najbardziej poetycznemu, jeżeli wśród tych kramarzy spotka jaką piękność prawdziwą, której oczy jak dwie gwiazdy wiodą go przez mgłę czarną i dym czarny, buchający z kominów fabrycznych. Wtedy miasto wyda mu się jasne a każdy Anglik wesołym.

Stanisław nie lubił Londynu i mieszkał w nim jedynie z konieczności, ale odkąd zaczął odwidzać dom swojego pryncypała, pogodził się nie tylko z losem, lecz nawet ze swojem otoczeniem w kantorze, które poprzednio mroziło go pedantyzmem a przerażało wiecznem milczeniem.

Miss Ellen i miss Mary były temi duchami dobremi, które chłopca z natury żywego i gorącego z zimną Anglią pojednały.

Obyczajem angielskim, otrzymawszy upoważnienie od ojca, przyjmowały go same, jeździły z nim konno do parku, robiły wycieczki w okolicę, a gdy dzień był pogodny, pływały w łodzi po Tamizie.

Ostatnia ta rozrywka sprawiała im zawsze największą przyjemność, Stanisław bowiem, mimo że nie pochodził z krajów nadmorskich, ani lat chłopięcych nie spędził nad większą rzeką, dzięki jednak swojej zręczności i zamiłowaniu do wszystkiego co piękne, a przed czem żaden młody człowiek nie powinien się cofać, po kilku próbach nauczył się tak wiosłować i żaglem kierować, że młode panienki bez najmniejszej obawy mogły się z nim puszczać w górę Tamizy, lub z łódźmi znajomemi w pędzie współzawodniczyć. Nikt lepiej, jak on, nie wymijał okrętów, które setkami krążyły pod miastem, i nikt lepiej, jak on nie umiał dam swoich zabawić, mimo że uważnie spoglądał na prawo i lewo, ażali nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

Dzięki częstym odwidzinom i wycieczkom, między młodymi ludźmi zapanowała taka poufałość, jak gdyby byli rodzeństwem i wzrośli obok siebie. Młode serce łatwo lgnie do wszystkiego, co piękne i dobre, a że panienki obie były piękne i prawdopodobnie obie dobre, więc Stanisław Wybicki spoglądał na nie, jak na dwie siostry, z któremi dzielił się wrażeniami. Gdyby kto był żądał od niego wyznania, czy je kocha, bez namysłu byłby odpowiedział, że obie kocha, jak nie mniej, że dla obydwu jest z równą przyjaźnią; lecz gdyby go kto był nagle zapytał, w której z nich pokłada więcej zaufania, prawdopodobnie zawahałby się z odpowiedzią. Ellen była zawsze poważną, o czole spokojnem, o spojrzeniu czystem, jedną z tych, na których widok każdy mężczyzna czuje szacunek głęboki.

Mary natomiast, mimo sentymentalności irlandzkiej, miała w swoich żyłach przymieszkę krwi gorętszej, dzięki czemu jej wzrok był żywszy, ruchy swobodniejsze i usta nie zawsze milczące.

Tamta była cudownym posągiem — ta piękną kobietą. Komuż mężczyzna prędzej zaufa — posągowi czy kobiecie?

Na szczęście Stanisław nie zadawał sobie pytań tak drażliwych, więc i odpowiedzią nie potrzebował się troszczyć. Rad, że miał towarzystwo przyjemne, korzystał z niego, ilekroć mu czas pozwolił, a zresztą pracował jak dawniej gorliwie, stawiając, za cztery funty miesięcznie, które mu zupełnie wystarczały, zimne cyfry w księgach kupieckich.

Po roku tych stosunków, młodemu człowiekowi i z innej jeszcze strony świat zaczął się uśmiechać. Oto p. Karol Wybicki przypomniawszy sobie nareszcie, że gdzieś za granicą ma brata młodszego, posłał mu paczkę rubli, za które Stanisław dostał 107 funtów. Biedny chłopiec ujrzawszy się panem tak wielkiej fortuny, myślał, że oszaleje z radości. Odtąd nie lękał się już przyszłości, bo prócz pracy miał w zapasie kapitalik na ciężkie czasy.

Uzupełniwszy swoją garderobę, która od dawna błagała pomocy, złożył większą część gotówki w banku, a sam ubrany jak dżentelmen prawdziwy, poszedł przedstawić się swoim paniom. Przyjęły go uprzejmie jak zawsze, a że była to niedziela, dzień zaś lipcowy gorący, więc

po krótkiej naradzie zaproponowały przejażdżkę w łodzi.

Wkrótce też młodzi ludzie pędzili rozpiętym żaglem po mętnych falach Tamizy.

Stanisław Wybicki był tego dnia wesół, jak jeszcze nigdy; opowiadał, śmiał się, żartował. Panienki słuchały go, ale w sposób odmienny. Podczas gdy miss Ellen, przypatrując się na pozór uważnie zielonym brzegom Tamizy, nie straciła ani jednego słowa, miss Mary wcale nie udawała obojętnej i zatopiona w spojrzeniu mówiącego, który siedząc na przodzie, jedną ręką żagiel przytrzymywał, drugą zaś ster kierował, była cała zasłuchana. Miss Ellen pamiętała zawsze, że była piękną i bogatą, o której względy każdy starać się powinien; miss Mary natomiast nigdy się z tem nie taiła, że nad wszystko lubiła rozmowę wesołą.

Gdy tak we trójkę pędzą, sami nie wiedząc gdzie i po co, nagle spotykają na swej drodze okręt parowy, który w owych czasach jeszcze dość rzadko pojawiał się na Tamizie. Stanisław widząc niebezpieczeństwo, skręcił ster gwałtownie i wprawdzie okręt wyminął, lecz niebezpieczeństwa nie uniknął. Okręt był olbrzymi, a że wielkie koła miał po obu bokach, więc fala niemi wzburzona mogła łatwo zatopić łódź znajdującą się w pobliżu. Młody człowiek usiłował łódź obrócić, aby dzióbem stanąć naprzeciw fali, wszelako zamiar udał mu się tylko w połowie. Potwór pędził całą siłą pary, fala uderzyła w bok łodzi, ta zachwiała się, jak kołyska, Stanisław zaś, tracąc równowagę, wpadł w wodę. W tej chwili dokoła rozległ się krzyk przeraźliwy. Był to głos miss Mary...

Na szczęście młody człowiek wymijając okręt, kierował jedną ręką ster, a w drugiej trzymał linewkę od żagla; padając, linewki nie wypuścił, że zaś łódź tylko się zatrzęsła a nie przewróciła, więc w jednej chwili był znowu między swojemi paniami.

Spojrzał na obie.

Miss Ellen była bledsza jak zwyczajnie i usta miała sine, a siedząc na dawnem miejscu, śledziła Stanisława wzrokiem zaniepokojonym, miss Mary stała obok niego blada, jak liść drżąca, a ująwszy go przyjaźnie za rękę, spytała:

— Czy nie stało ci się co złego, sir?

IX.

Po tem zdarzeniu Ellen dostała migreny tak gwałtownej, że wróciwszy do domu, musiała położyć się do łóżka. Ojciec dowiedziawszy się o wypadku, pospieszył córkę odwidzić. Ellen, zachowująca się spokojnie i dumnie nawet wobec ojca własnego, była tym razem, mimo bolu głowy, bardzo tkliwą i mowną, a gdy on jej rękę podał przycisnęła ją do ust z całem wylaniem dziecka kochającego.

— Biedna Ellen! — przemówił master Brown, gładząc jej twarzyczkę piękną — jak śmiał on ciebie tak przestraszyć?

— Wszak to przypadek mój ojcze... on temu nie winien.

— Przepraszam cię, moje dziecię... ja nie pojmuję co znaczy przypadek... Człowiek na to ma rozum, żeby wszystko obliczał i przypadków unikał. Gdyby pan Wybicki zamiast rozglądać się na lewo i prawo, jak to u niego jest w zwyczaju, patrzył był lepiej przed siebie, nie miał by był tego przypadku, a ty...

— Ach! ojcze, wszak on sam najwięcej na tem ucierpiał... nie osądzaj go więc surowo.

— Prawda... lecz z tem wszystkiem przyznasz sama że wycieczkom lekkomyślnym trzeba już kres położyć.

— Ojcze! nie bądź tak surowym przemówiła dziewica prawie błagając.

— Za, surowy? Nie rozumiem cię Ellen...

Miss Mary, która siedząc obok łóżka swojej kuzynki, była świadkiem tej rozmowy, odgadując że jej dłuższa obecność byłaby może uciążliwą, tak dla ojca, jak dla córki, wyszła do przyległego saloniku. Gdy szła, krok jej nie był pewny — a i usta miała jak by bolem zaciśnięte.

Master Brown rozmawiał długo ze swoją jedynaczką i musiało przyjść do wzajemnego porozumienia, bo gdy odchodził twarz miał rozweseloną, córka zaś, żegnając ojca, upewniała go, że ból głowy znacznie się zmniejszył.

Gdy przechodził przez salonik, miss Mary z ust jego słowa nie usłyszała, a przecież jej serce ścisnęło się bez powodu i w duchu zadrżała!...

Nazajutrz po godzinach biurowych, master Brown kazał prosić do swego gabinetu p. Stanisława Wybickiego.

Młody człowiek spodziewając się wymówek, nawet burzy, uzbroił się w cierpliwość i na najgorsze przygotował; jakież atoli było jego zdziwienie, gdy pryncypał, nie wspominając nawet o wczorajszym wypadku, w te słowa przemówił:

— Już od dawna chciałem z tobą pomówić o rzeczy nader ważnej, od której zawisł twój los. Jestem kupcem, który wie, że czas to pieniądze, będę zatem zwięzłym... Mam rozległe przedsiębiorstwa, prowadzę handel z Azją i Ameryką, co dni czternaście moje okręty wypływają z portu, a nie mam obok siebie nikogo, ktoby połowę mojego ciężaru zechciał przyjąć na swoje barki A jam już zmęczony pracą... sześćdziesiątka minęła przed rokiem! W tych latach trudno rzucać sie na wszystkie strony, jak ongi, gdy się było młodym. Nie mając ani syna

ani wspólnika na którego uczciwości mógł bym bezwarunkowo polegać, proponuję ci sir żebyś został moim spólnikiem.

Młody człowiek osłupiał.

— Ja spólnikiem twoim, master Brown, ja, którego cały majątek wynosi siedmdziesiąt funtów? To chyba żarty, master Brown, przykre żarty!

— Ja nigdy nie żartuję — odparł Anglik poważnie, tem mniej zaś w sprawach pieniężnych w których żart równa się oszustwu. Ja mówię całkiem serjo.

— Wierzę, master Brown... ale co do mnie, także serjo oświadczam, że nie pojmuję spólnika, który nie ma ani majątku, ani znakomitej głowy finansowej, ani stosunków. Siedząc w pańskim kantorze, nauczyłem się liczyć i książki w porządku utrzymywać, lecz o wielkich operacjach finansowych najmniejszego nie mam wyobrażenia.

— Sir umiesz oszczędzać.

— Prawda, lecz cóż z tego?

— Gdzie majątek wielki — ciągnął kupiec, cygaro zapalając, tam oszczędność sama podwaja kapitał.

Stanisław zamilkł; propozycja pana Brown wydała mu się tak nieprawdopodobną, powiemy nawet tak dziką, że nie wiedział, czy nie lepiej milczeć, niżeli dłużej o niej mówić.

Kupiec zrozumiał to milczenie.

— Jeżeli więc nie chcesz być moim spólnikiem, sir — przemówił po chwili otrząsając popiół z cygara — to bądź moim spólnikiem i synem...

Stanisław o krok się cofnął.

— Zaiste — bąknął — trudno mi pojąć.... Master Brown chyba...

— Wierzę, że ci trudno pojąć — rzekł kupiec powstając — ale ja mówię, jak myślę. Córka moja ma miljony, a ty sir możesz mieć wysokie stanowisko społeczne. Wiem że twoja rodzina, bardzo dobra, więc i o tytuł nie będzie trudno. Jak widzisz, jest to *biznes* na wzór tysiąca innych i nic więcej.

— Lecz czy miss Ellen, zechce przyzwolić na taki *biznes* — zapytał młody człowiek z odcieniem goryczy.

— Przyzwolenia córki jestem pewny — odparł kupiec — zwłaszcza, że przez cały rok starałeś się o to aby jej nie być obojętnym, a co do ciebie, to zbyt mam wielkie wyobrażenie o twoim rozumie, bym przypuszczał, że bodaj chwilę mógłbyś się wahać, nawet w takim razie, gdybyś jej wcale nie kochał, w co jednak trudno uwierzyć. Człowiek bez majątku to parja, którym każdy pogardza, o którego uczciwości wszyscy wątpią, któremu nawet w kościele z bogatym równych praw nie przyznawają. Wierz mi, sir, dobrze tam ktoś powiedział, że nawet genjusz bez pieniędzy jest wspaniałem zerem. I cóż ty teraz na to sir?

— Tak jestem odurzony, że zaiste nie wiem co odpowiedzieć.

— Bardzo cię rozumiem, sir, i dla tego zwalniam cię na dziś od zajęcia w kantorze... Idź do domu, uspokój się i pomów z miss Eleną... Między nami rzecz skończona.

Rzekłszy to master Brovn podał rękę młodemu człowiekowi, który wyszedł już na ulicę, a jeszcze nie mógł zebrać swoich myśli. (C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Alison wpatrzył się w mówiącego z pewnem jeszcze niedowierzaniem.

— Tak, to prawda! Jako wspólnik, a w przyszłości szef domu naszego, musiałem nawet w wyborze żony pamiętać i mieć na względzie nasze interesa, ale daję panu słowo honoru, że chociażby tylko jako tako odpowiadał naszym potrzebom majątek miss Forest, wolałbym ją, niż najpierwszą z naszych miljonerek!

Atkins roześmiał się głośno.

— Wierzę! wierzę panu! nawet bez słowa honoru. Zaszłapałeś się pan co się zowie! kochasz się ogniście! Ciekawym tylko, czy się panu uda rozgrzać naszą piękną, zimną miss? Dotąd nie wydaje mi się zbyt czułą; no; to się może jeszcze znaleźć. Zawsze bardzo szczęśliwie dla pana, że interesa kupca z uczuciami kochanka nie są w rozterce, przeciwnie dopełniają się wzajemnie. Jeszcze więc raz winszuję panu tak rzadkiego wypadku i pomyślnego zbiegu okoliczności!

Jenny, opuściwszy salon, przebiegła szybko kilka pokoi, i weszła do sypialni cokolwiek przyciemnionej, lecz równie bogato przystrojonej, jak salon, w którym się poprzednio znajdowała. Stąpała cichutko po miękkim dywanie, którym cały pokój był zasłany, i zbliżyła się bez szmeru prawie do łóżka ojca, podnosząc ostrożnie firanki w górę.

Teraz widziało się jasno, zkąd pochodził ten dziwny wyraz w rysach młodej dziewicy. Powagę prawie z ponurością graniczącą, zimną stanowczość, energję i dumę nieugiętą, wszystko to, rys po rysie, można było odszukać na twarzy chorego, leżącego na poduszkach.

Cierpienia i cienie śmierci, która powoli panować tu zaczynała, nie osłabiły, ani nie ułagodziły tych uczuć. Przeczuwając obecność córki, chory obrócił ku niej głowę.

— Dopiero teraz powiedziano mi, że lekarz był u ciebie, gdy on już odjechał, a ja tak pragnęłam być z nim razem przy tobie! Czyś ty tak rozkazał, ojcze?

— Tak, moje dziecię! Chciałem usłyszeć od niego stanowcze słowo, z którem był by się może ociągał w twojej obecności. Mnie wyznał bez ogródki, że ledwie na dni kilka życia liczyć mogę.

Jenny upadła przy łóżku na kolana, kryjąc głowę

w poduszki. Drżała na całem ciele, a łkania suche, konwulsyjne, piersi jej rozrywały. Chory popatrzył na nią boleśnie.

— Uspokój się, Jenny! Wyrok ten nie może cię dziwić, wszak oboje byliśmy na niego przygotowani. Liczyliśmy może, że dłużej ze sobą zostaniemy. Śmierć atoli jest nieubłaganą! rozstać się musimy... Czyż chcesz mi jeszcze utrudnić pożegnanie z tobą, którą zostawiam samą jedną na świecie! swemi łzami i swoją rozpaczą?

— Nie! nie! — zerwała się z kolan, i już prawie spokojnie na ojca popatrzyła, tłumiąc boleść, z siłą nadnaturalną; zaledwie jeszcze usta lekko drgały, ostatniem wewnętrznem łkaniem poruszone. Chory się uśmiechnął, lecz dużo było goryczy w tym uśmiechu; byłby może wolał, żeby tym razem córka go nie była posłuchała, a przynajmniej nie z taką łatwością.

— Chciałbym pomówić z tobą, dziecię moje, a nie wiem, ile mi jeszcze godzin spokojnych zostaje, bez bolów, które mi przytomność odbierają. Zbliż się więc i słuchaj.

Jenny usiadła obok łóżka, i nachyliła głowę ku ojcu.

— Smutno mi rozstawać się z tobą, o los twój jednak jestem zupełnie spokojny. Wiem, że mimo twej młodości dasz sobie radę, nie potrzebując podpory i opieki. Co do majątkowych interesów, masz Atkins'a przy boku. Jego natura złośliwa, sposób drwiący i sarkastyczny, z jakim się na wszystko i wszystkich zapatrywał, nie były mi nigdy sympatyczne; co do jego rzetelności i szczerej dla nas przychylności, tę przez dwadzieścia lat próbowałem, i jestem jej pewny. Wiesz, że od dawna posiada osobisty majątek, jednak domu naszego nie opuścił, tem bardziej ciebie nie opuści, chyba że cię wesprze ramię męża, co może niedługo...

— Mój ojcze! — przerwała Jenny — właśnie szłam z tem do ciebie. Wiesz, że był u mnie w tej chwili pan Alison i prosił o moją rękę.

Chory podniósł się cokolwiek z wielkiem wysileniem, i z widocznym niepokojem:

— A Ty?!

— Przyrzekłam mu ją.

— Tak! — chory upadł napowrót na poduszki i milczał. Jenny spojrzała na ojca ze zdziwieniem.

— Czy ci się mój wybór nie podoba, drogi ojcze? Byłam tak pewną twego przyzwolenia.

— Wiesz dobrze Jenny, że zostawiłem ci zupełną wolność w wyborze męża. Wszak tu o twoją przyszłość idzie. Spodziewam się jednak, żeś tego kroku tak ważnego nie zrobiła bez namysłu.

— O nie! Oświadczenie znalazło mnie przygotowaną. Pokładam wszelką ufność w charakterze pana Alison'a i w jego przyszłości. Jego rodzina, należy do najpierwszych w mieście, stanowisko dziś już świetne, rozwinie się jeszcze dzięki jego wszechstronnym talentom i stanie się on z czasem jedną z wybitnych wielkości naszego świata handlowego. Czy to wszystko nie zdaje Ci się mój ojcze dostateczną rękojmią mego szczęścia przyszłego?... Czy ci to nie wystarcza?...

— Mnie?! Skoro tobie wydaje się dostatecznem!

Jenny wypatrzyła się na ojca, z najwyższem zdumieniem! Czegoż jeszcze mogła żądać od małżeństwa po tem, co dotąd wyliczyła? Forest znowu się gorzko uśmiechnął:

— Masz słuszność, Jenny, zupełną słuszność. Ot! niepotrzebne, dziecinne przypomnienie! Myślałem o mojem niegdyś oświadczeniu, o twojej matce, jak słowa moje przyjęła... Precz z marzeniami chorobliwemi! Pan Alison posiada istotnie wszystkie przymioty, o jakich wspominałaś; ty mu w nich dorównasz a może go i przewyższysz w niektórych; możecie więc żyć spokojnie — zupełnie z siebie zadowoleni.

— Spodziewam się też tego — odrzekła Jenny — i tu zaczęła ojcu dalej opowiadać, jakie podała warunki narzeczonemu, i w jakim czasie ma ślub nastąpić. Forest słuchał z uwagą wytężoną i z widocznem zadowoleniem.

— To mnie bardzo cieszy! Uprzedziłaś moje życzenia, tem postanowieniem, bo i ja mam pewne warunki dla ciebie. Cobyś na to powiedziała, gdybym żądał od ciebie, żebyś ten rok, dopóki jeszcze wolną jesteś, przeżyła we Francji u naszych krewnych?

Jenny powstała, zdziwiona boleśnie.

— We Francji! Ja?

— Tak więc nie lubisz Francji?

— Niecierpię! — odrzekła Jenny stanowczo — tak samo, jak ty, mój ojcze. Nie mogę kochać kraju, w którym zatruto twoją młodość, zwichnięto życie, a wreszcie wypędzono cię z niego, jak zbrodniarza! Nie mogłam matce darować, że nigdy nie chciała uznać, ileś ty tam wycierpiał i bez najmniejszej uwagi na ciebie, tak cię okropnie dręczyła, wieczną, niczem niepokonaną tęsknotą, do tej, tak dla ciebie niegodziwej ojczyzny!

— Milcz, Jenny! — przerwał chory gwałtownie — nie tykaj uczuć, których nie rozumiesz i rozumieć nie możesz. Nie zgadzaliśmy się z twoją matką, była dla mnie często przykrą i niewyrozumiałą, a jednak dała mi ona chwile takiego szczęścia, jakiego ty nie dasz nigdy twemu mężowi — nigdy Jenny! Pan Alison zresztą, nie będzie zapewne ani potrzebował, ani pragnął szczęścia podobnego.

Jenny umilkła; przyzwyczaiła się już do tego, że ojciec w tej chorobie bywał dziwnie drażliwy i niepojęty. Z uległością, jaką się chorym winno, zniosła i teraz jego gwałtowne wymówki, siadając napowrót obok łóżka.

Po kilku minutach ojciec zwrócił się ku niej:

— Daruj mi, dziecię! — przemówił znowu łagodnie — byłem niesprawiedliwy. Jesteś taką, jaką cię wychowałem, jaką cię mieć chciałem, i dziś jeszcze nie żałuję, żem ci dał taki a nie inny kierunek. Będzie ci łatwiej stawić czoło burzom życia, które twoją słabą, czułą matkę przedwcześnie złamały. Dajmy temu pokój! Miałem ci wcale o czem innem mówić. Wiesz, Jenny, żeś miała brata?

Jenny drgnęła, wzrok wlepiła w ojca pytająco, z widocznym niepokojem:

— Dzieckiem — słyszałam coś o tem, później nikt mi już o nim nie wspominał. Wszak umarł?

Chory westchnął ciężko:

— Być może, że umarł; lecz pewności żadnej w tym

względzie nie mamy. Zakazałem wreście o nim wspominać, bo każde wymówienie jego imienia, było dla twojej matki, jakby uderzenie nożem w serce! — odnawiało jej boleść, grożąc prawie jej życiu, za każdym razem. Nie mówiło się więcej o nim, matka jednak ani na chwilę straty swej nie zapomniała!

Bez tchu prawie, słuchała Jenny opowiadania ojca. On wziął ją za rękę i trzymał już ciągle w swoich stygnących dłoniach, jakby szukał wzmocnienia w uścisku ręki dziecka swego.

— Nie jest ci obcą historja najnowsza kraju twojego, Jenny. Wiesz jakie w nim prądy nurtowały pokryjomu, przygotowując powoli umysły, zacząwszy od rewolucji lipcowej, w roku 1830, do wypadków w roku 1848, których doniosłość i korzyść, jaką mogła z nich Francja odnieść, zniszczył od razu „coup d'État“ Ludwika Napoleona, w roku 1852. Przekonał się świat ponownie, że Napoleonidy uważali Francję zawsze jako środek, a raczej podnóżek do wywyższenia siebie. Nie chodziło im nigdy o wielkość Francji, ale o ich byt dobry i dogodzenie szalonej próżności. Okiem umierającego, które bywa często jasnowidzącem, przeczuwam wkrótce straszne wypadki. Ten blagier polityczny, wtrąci moją biedną Ojczyznę w otchłań okropnych zawikłań. Może jednak skorzysta ona o tyle, że jego się pozbędzie, że znowu zajaśnieje nad nią słońce prawdziwej wolności. Ale wróćmy do rzeczy. Owe prądy rewolucyjne, zajęły najbardziej głowy młode, tak łatwo upajające się ideą wolności i przyszłej wielkości Ojczyzny. I moje, wówczas dwudziestoletnie serce rozgorzało czystym płomieniem miłości dla kraju, i ja marzyłem z wielu innymi, o rzeczypospolitej, jako o jedynej formie rządu, mogącej kraj mój zbawić i uszczęśliwić. Rząd ówczesny odpowiedział na to, jak zwykł na takie marzenia odpowiadać; prześladowaniem — więzieniem. Co dla nas było szczytem miłości i poświęcenia, rząd za zbrodnię stanu poczytywał, i za nią karał. Początkowo na śmierć skazany, w drodze łaski — co za ironia — na trzydziestoletnie więzienie przeznaczony, siedm lat w niem przesiedziałem — od reszty lat amnestja ogólna mnie uwolniła. Nie będę dziś wywoływał z pamięci tych wspomnień bolesnych! Znane one ci dobrze z moich opowiadań, te straszne lata! ciężkiej niewoli, — męczarni niepojętych, upokorzeń niezliczonych! Miały one jednak swoją dobrą stronę. W ponurej ciszy, w samotności więziennej, dojrzał prędko umysł młodzieńczy. Duch mój stał się silnym, nieugiętym w tej szkole cierpień bez końca. Odrzuciłem precz od siebie, sny młodzieńcze, ideały dziecinne, a nauczyłem się nienawidzieć! pogardzać! jeszcze goręcej, jak niegdyś kochałem! Marzyciel dwudziestoletni, wyszedł z więzienia mężem pełnym hartu, woli nieugiętej, jednem słowem: człowiekiem skończonym.

Forest zamilkł na chwilę. Wyraz bolesny, gorzki, odbił się teraz jednakowo w rysach ojca i córki. Twarz Jenny była jeszcze więcej ponurą i wyrażała nienawiść namiętną dla sprawców nieszczęść jej ojca. Dowód najlepszy, że córka była we wszystkiem powiernicą ojca, i zapamiętała krzywdy, które mu wyrządzono.

Odpocząwszy cokolwiek, chory zaczął na nowo:

— Jak tylko ujrzałem się wolnym, poślubiłem twoją matkę. W mojem położeniu, było to istnem szaleństwem, ale musiałem tak postąpić. Zaręczyliśmy się jeszcze, gdy byłem na uniwersytecie, matka twoja lata długie na mnie czekała, odrzuciła przez wzgląd na mnie partję świetną, która mogła jej los zapewnić. Zastałem ją już sierotą, samą jedną na świecie, na łasce krewnych, którzy z nią obchodzili się najgorzej! Nie mogłem znieść tego, raczej na wszystko inne poświęcić się postanowiłem. W lat kilka dał nam Bóg syna. Do ciebie nie był on wcale podobny — tu wzrok jego spoczął prawie z boleścią na pięknej twarzy córki — jasne włosy, oczy turkusowe, duże, zamyślone, wiecznie jakby łzą przysłonięte, przypominały całkiem matkę. I ten syn nie wniósł pod dach mój biedny, szczęścia i spokoju. O! te lata pierwsze mego małżeństwa, należą do najstraszniejszych! Były one cięższe prawie, niż lata w więzieniu spędzone. Tam, cierpiałem sam jeden; tu patrzyłem na żonę i dziecko, którym groziła nędza, z całą swoją przerażającą nagością! Przyszłość moja była zwichniętą, wszelkie stosunki zerwane! Przed demagogiem zamykano drzwi wszędzie, odmawiano wszelkiego zarobku! Pracowałem krwawo, nad siły, a przecież dla moich najdroższych, często na chleb codzienny zarobić nie mogłem! Bylibyśmy zapewne ulegli tej nędzy — wtem nadszedł rok 1848. Pokazało się, że cela więzienna nie dosyć jeszcze wystudziła głowę, nie dosyć zmroziła serce! Dawny marzyciel odezwał się we mnie na nowo, a odesławszy żonę i dziecię do krewnych do Bretanji, sam rzuciłem się w Paryżu w wir wypadków politycznych, bez namysłu, z energją młodzieńczą, z nadziejami najświetniejszemi! Wiesz także w co je obrócił prezydent rzeczypospolitej, większością głosów przez naród obrany! Jako jeden z przewódców rewolucji, czegoż mogłem się spodziewać? na co oczekiwać? widząc na około siebie podnoszącą się, jak fale wzburzonego morza, reakcję najzupełniejszą! Dać się zamknąć po raz drugi, było to skazać was na śmierć głodową! — i tyś już wtedy była na świecie — postanowiłem więc uciec z wami do Ameryki. W przebraniu, pod obcem nazwiskiem, dostałem się szczęśliwie do Bretanji, do domu twego wuja, doktora Etienne, gdzie dotąd matka z wami mieszkała. Szwagier pożyczył mi chętnie potrzebną sumę, może z dobrego serca, a może ze strachu przed demagogiem, który był zakałą rodziny, a którego mógł się teraz pozbyć na zawsze! Dowiedział on się z boku, że już zaczęto polować na mnie zawzięcie! Przyspieszaliśmy też nasz odjazd ile możności. Biedne dziecię! w smutnej godzinie spojrzałem pierwszy raz na ciebie. Z ojca pocałunkiem, spadła razem na twoje czoło piekąca łza, bolu, rozczarowania, nienawiści! Może to rzuciło cień na całe twoje życie. Nie widziałem nigdy w twoich oczach prawdziwej swobody, na ustach wesołego uśmiechu, jak mają inne dzieci. Wreście nadszedł dzień odjazdu z Brest. Nie długo przed odpłynieniem okrętu, udaliśmy się na brzeg. Dla niezwrócenia uwagi, matka niosąc cię na ręku, szła naprzód, ja za nią w pewnem oddaleniu prowadziłem syna. W tej chwili ujrzałem na

parę kroków od siebie, ajenta policyjnego, bardzo zręcznego, który znał mnie doskonale! Przerażony, szepnąłem synowi, żeby szedł za matką, którą jeszcze widzieliśmy na przodzie, sam rzuciłem się w bok, tam gdzie tłum był największy. Syn miał już wtedy ośm lat, byłem przekonany, że pójdzie za matką. W godzinę potem, szpieg znikł szczęśliwie, a ja dostałem się niepostrzeżony na pokład okrętu. Moja żona domyśliła się powodu mego opóźnienia, biegnie uszczęśliwiona mojem przybyciem, ale nie widząc syna przy moim boku, pyta o niego przerażona. Porozumiewamy się w kilku słowach. Niestety! nie poszedł za matką, został na brzegu! Wracam na ląd w trwodze śmiertelnej, niepomny na grożące mi niebezpieczeństwo; szukam, pytam, nikt chłopca mego nie widział, nikt o nim nie słyszał.

Że szpieg nie wrócił, że mnie wtedy nie poznano, nie złapano, kiedy biegałem tu i tam jak szalony, był to cud wyraźny Opatrzności. Zadzwoniono do odjazdu. Myślałem że oszaleję! Tu syn zostawał, tam odpływała żona z drugiem dzieckiem w kraje nieznane, a tak dalekie! Jakim sposobem znalazłem się na okręcie, bez syna, zostawiając go samego, oddanego na pastwę wszystkiemu najgorszemu, jak to przeżyłem, zkąd wziąłem siły, by zdecydować się na ten straszny wybór, nie wiem dotąd! O! ten cios zadany sercu ojca, był koroną wszystkiego! Znikające brzegi rodzinne żegnały mnie tem ostatniem nieszczęściem, do wszystkich gorzkich wspomnień dorzucając to najkrwawsze, serce rozdzierające! Skoro wylądowałem w Nowym-Yorku napisałem do brata żony. Nim list odebrał, miesiące minęły! Wuj zajął się tą sprawą gorliwie, pojechał sam do Havre, szukał, pytał w całej okolicy, wszystko nadaremnie! Dziecko bez wieści przepadło!

Chory umilkł, oddychał krótko i ciężko, z widocznem wysileniem. Córce jednak nie przyszło na myśl, prosić go żeby przestał, żeby odpoczął; nie zastanowiła się, że opowiadanie tak nużące mogło śmierć przyspieszyć. Podobne czułości i względy delikatne nie istniały w stosunku ojca do córki. Tu był obowiązek: miał jej powierzyć tajemnicę, aby jej ułatwić dopełnienie tej powinności. Wszak ojciec i tak na śmierć przygotowany, ale nim umrze, musi jej wszystko wypowiedzieć, o czem wiedzieć powinna. O tem też tylko myśleli w tej chwili tak umierający, jak jego córka nieodrodna. Po krótkim odpoczynku, zaczął chory mówić dalej:

— Ostatnia ta ofiara, zdaje się, zaważyła tak ciężko na szali sprawiedliwości boskiej, że odtąd los mój zmienił się zupełnie. Od pierwszego kroku, który zrobiłem, wstępując na ziemię amerykańską, powodzenie niesłychane we wszystkich moich przedsięwzięciach nie opuściło mnie więcej. W Nowym-Yorku poznałem się z Atkinsem, który był wtedy pisarzem w kantorze, i ledwie mógł wyżyć z lichej pensyjki; on mnie uwolnił i wyrwał ze szponów bandy oszustów, którzy byliby niewątpliwie zgubili niedoświadczonego. Jemu jedynie zawdzięczając uratowanie mojej sumki, zaproponowałem mu spółkę. Przyjął ją, nie mając nic do stracenia, i pociągnęliśmy na zachód, w tę oto właśnie okolicę, która wtedy była jeszcze lasem dziewiczym. Kilku ludzi energicznych i dobrej woli, przybraliśmy sobie. My tu pierwszy szałas zbudowali, my pierwsze drzewo zrąbali, które dotąd tylko burza od czasu do czasu wywracała. Może przypomnisz sobie ze swoich lat dziecięcych, jak wracałem z siekierą w ręku do domu, w którym twoja matka sama jeść gotowała, i jak prosta wyrobnica pracowała. Ten stan przechodowy nie trwał jednak długo. Nasza kolonia wzrastała szybko, grunt okazał się nadzwyczaj plennym, położenie najkorzystniejszem, wkrótce miasto powstało, port był zbudowany, ziemia, którą kupowałem nadzwyczaj tanio, gdy jeszcze cała okolica puszczą była, podniosła się do bajecznej wartości, tak że brałem za każdy kawałek trzydzieści razy tyle, ile niegdyś za niego płaciłem. Każde przedsięwzięcie, do którego i innych wciągałem, szło jak najlepiej. Brałem czynny udział w życiu publicznem. Osiągnąłem więc i to, czego tak gorąco całe życie pragnąłem, a w kraju rodzinnym znaleźć nie mogłem: uznanie i ocenienie moich dobrych chęci przez współ-obywateli. Obcy ludzie obsypali mnie zaszczytami, obdarowali zaufaniem najwyższem. Nazwisko, które nosisz, i stosunki majątkowe, w jakich cię zostawiam, Jenny, robią z ciebie partję pierwszorzędną. Nawet taki dumny pan Alison, może sobie poczytywać za zaszczyt, jeżeli osiągnie twoją rękę.

— Wiem o tem, mój ojcze! — odpowiedziała Jenny, ze zwykłym spokojem i powagą. Tym razem jednak, nie o sobie myślała. Dumną była, że ma takiego ojca, że nosi nazwisko jego, powszechnie cenione i szanowane.

Z wysileniem coraz większem, okazującem, że siły nikną, spieszył chory do końca swego opowiadania:

— Nie potrzebuję ci mówić, żem ani na chwilę nie ustawał w poszukiwaniach. Tem bardziej zostawszy bogatym, używałem do tego moich rozległych stosunków, nie żałowałem pieniędzy, całemi latami! Rezultat, niestety! był zawsze ten sam. Wreście, tyś mi go zupełnie zastąpiła; straciłem nadzieję odszukania syna. Inaczej było z twoją matką. Ta, do ostatniej chwili życia, nadziei nie straciła, będąc silnie przekonaną, że syn żyje, że musi się odszukać. Rozpaczliwie trzymała się tej myśli, jak tonący chwyta słabą, wiotką gałązkę, choć wie, że go utrzymać nie może. Konając, wymogła na mnie uroczyste przyrzeczenie, że pojadę sam do Francji, i jeszcze raz będę usiłował osobiście odszukać syna. Obiecałem jej, tem bardziej, że ostatnia amnestja i mnie objęła, mogłem więc bez żadnego niebezpieczeństwa udać się do kraju. Choroba jednak przeszkodziła mi i niedozwoliła wypełnić danego przyrzeczenia. W twoje ręce składam, córko moja, to ostatnie, najgorętsze życzenie twojej matki! Nie mam wprawdzie ani cienia nadziei, żebyś wpadła na ślad brata, za którym ja nadaremnie przez lat dwadzieścia goniłem, — weźmiesz atoli na siebie dług święty, którego ja już nie mogłem oddać umarłej; dopełnisz zresztą formy, jako osoba szlachetna i rzetelna, przekonywując się, czy masz wszelkie prawo do majątku mego, jako jedyna jego spadkobierczyni, czy nikt więcej tego prawa z tobą nie podziela. Twój wuj będzie ci chętnie pomocnym, ale ty musisz

mu dodać twoją obecnością bodźca i energji w działaniu, na której mu całe życie zbywało. Tutejsze koła nie zdziwią się wcale, iż rok żałoby po ojcu przepędzisz u krewnych, w jego ojczyznie. Jeżeli Alison uzna to za stosowne, może wstąpić po ciebie, przy końcu swojej podróży i w domu wujowstwa cię poślubić. W tym względzie postąpicie, jak wam będzie najdogodniej, lecz odszukanie brata składam jedynie w twoje ręce, Jenny! Jeżeli istotnie żyje, ty go odszukasz, nieprawdaż?

Jenny stała teraz naprzeciw ojca, z taką męzką energją w całej swej wyniosłej postawie, iż ani na chwilę wątpić nie można było, że dotrzyma przyrzeczenia.

— Bądź spokojny, ojcze! Jeżeli jest najmniejsze podobieństwo odszukania brata — ja go znajdę! — Masz na to moją rękę.

Forest uścisnął dłoń sobie podaną. Znowu jaskrawo wystąpił dziwny stosunek ojca do córki — żadnych łez, czułości — uścisk ręki zupełnie jak u mężczyzn, uświęcił przyrzeczenie dane z jednej strony, odebrane z drugiej. Przez krótką chwilę zapanowało głębokie milczenie, wtem chory odezwał się głosem stłumionym:

— Podnieś firanki, Jenny! całkiem podnieś... ta ciemność mnie dręczy! Wpuść światła, jak najwięcej światła!

Jenny pedniosła ciężkie, zielone adamaszkowe opony, a przez szerokie, podwójne okno wpadła teraz niczem niepowstrzymana, jasna smuga słońca południowego. Chory podniósł się cokolwiek, patrząc z wytężeniem przed siebie, na piękny widok, który po za oknem u stóp pagórka się rozścielał. (C. d. n.)

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

Z ZACHODU NA WSCHÓD AFRYKI.

(C. D.) W miejscu, gdzie Young wylądował, otrzymał natychmiast, osobliwym wypadkiem, wiadomość o Livingston'ie. Jeden tylko czarny znajdował się na brzegu. Ten skoro zoczył przybijający do brzegu europejski statek, zdawał się, na ten niespodziany widok, być przejęty najwyższem przerażeniem. Gdy jednak Young przystąpił do niego i powiedział mu, że jest Anglikiem, słowo to uspokoiło widocznie wszystkie jego obawy, bo odpowiedział „Anglicy dobrzy"; a, gdy Young badał go dalej, zkąd doszedł do tej opinji o Anglikach, dowiedział się z podziwem, że pewien Anglik przewędrował niedawno wsie położone nad jeziorem i wszędzie mieszkańców podarkami obsypał. Tu dopiero począł Young czarnego ściślej indagować i z opowiadania jego wymiarkował, iż nietylko istotnie Anglik jakiś w tych okolicach przebywał, ale że nim nie mógł być kto inny, jeno Livingstone. Livingstone tedy, jak z tego wnosić należało, opłynął nie północny, ale z przyczyny, którą jego późniejsze listy i opowiadania wyjaśniły, południowy brzeg jeziora Niassa.

Krajowiec oznajmił również Young'owi, że mieszka w bliskości pewnej arabskiej osady — i tam się też bez zwłoki Young statkiem skierował. Przybiwszy do brzegu, pozostawił swoich ludzi na statku, a sam udał się bez żadnej eskorty do wsi, i tu oświadczył nadbiegającym krajowcom, że jest Anglikiem. Na te słowa klasnęli czarni radośnie w ręce i wykrzyknęli. „Tscha didi!" „To wybornie!" Naczelnik pokolenia przystąpił do Young'a i spytał go, czy zna Anglika, który w minionej, chłodnej porze roku przybył do tej okolicy. Young odrzekł przecząco — i rozpoczął następujące badanie czarnego, które z powodu interesującej osnowy tutaj podajemy.

— Gdzie popłynął ztąd ów Anglik? — spytał Young.

— Do wsi Pomfunda, na rzece Pamalombe — odpowiedział czarny.

— Do kogo był podobny ten Anglik?

— Pan jesteś wysmukłego wzrostu; — tamten nie był tak wysoki, ale starszy. Pan masz dużo włosów na twarzy — a tamten nie miał na twarzy ani jednego włoska.

— Jakto, ani jednego?

— No tak — tylko nad ustami.

— Czy włosy jego były czarniejsze od moich?

— Włosy jego były czarne, ale już zmięszane z białemi.

— Kto towarzyszył temu Anglikowi?

— Dwudziestu, czy trzydziestu ludzi; ściśle na to odpowiedzieć nie mogę.

— Czy ubranie jego było do mojego podobne,

— Suknie jego były prawie takie same jak pańskie.

— Jakie miał pokrycie głowy?

— Czapkę czarną a przy niej kawałek czegoś (tu wyobraził czarny dokładnie znakami czapkę okrętową z daszkiem, naśladując tenże przyłożeniem na płask ręki do czoła.)

Young'owi wiadomem było, że Livingstone we wszystkich swoich podróżach afrykańskich nosił taką czapkę, — i to mocniej jeszcze wiarę jego w prawdziwość podań krajowca utwierdziło.

— Czy miał paki i pudła z sobą? zapytał znowu murzyna.

— Tak — i pomiędzy pudłami znajdowało się jedno takie, w którem miał jakąś białą wodę, a gdybyś pan był w tę wodę palec włożył, nie byłbyś go zamoczył.... Zaręczam, że nie kłamię.

— Do czego używał Anglik tej białej wody?

— Stawiał szkatułkę z nią na ziemi, a sam brał przedmiot jakiś w rękę i patrzał przezeń na słońce. (I tu przedstawił znów naczelnik za pomocą wyrazistych gestów wszystkie ruchy, jakie ktoś odbywa z sekstantem i sztucznym horyzontem z żywego srebra.

— Dokąd udał się ten Anglik?

— Ku północy. Skierował się ku osadzie arabskiej a ztamtąd miał zamiar statkiem przepłynąć przez jeziora powrócił jednak tutaj nazad, ponieważ spełnić tego nie mógł. Następnie zaś podążył do wsi Pomfunda.

Nie chcąc stracić dalszych śladów znakomitego podróżnika, uczuł się Young zmuszonym udać się do arabskiej osady, do której dotarł następnego poranku.

Osadę tę zamieszkiwali Arabowie, a raczej arabscy mieszańce, mający za naczelnika niejakiego Pikangwini. Przyjęcie, jakie u nich podróżnego naszego i jego ludzi

spotkało nosiło na sobie cechę wyraźnej nieufności, która jednak w dalszym rozwoju rozmowy zniknęła. Potwierdzili wszystko, co czarni na wschodniem wybrzeżu jeziora Niassa już opowiedzieli byli Youngowi.

Teraz nic nie pozostało Young'owi i jego towarzyszom, jak płynąć dalej jeziorem Niassa. Płynęli więc, narażeni na ciągłe burze, które na tem zamkniętem, w okrąg górami opasanem jeziorze, często się wydarzają; płynęli wciąż dalej na południe, w celu dotarcia do siedziby naczelnika Marengi, jednego z najznaczniejszych władców w tej okolicy. W około przy brzegach jeziora rozciągały się olbrzymie papyrusowe i trzcinowe lasy, przez które płynący statek z trudnością tylko mógł odnaleźć i utrzymać swoją drogę. Wreszcie spostrzegli podróżni kilka rybackich kanoe (łódek), które z początku pierzchły, biorąc białych za Arabów; powróciły jednak i siedzący w nich rybacy niezmiernie się ucieszyli, usłyszawszy, że mają do czynienia z Anglikami. Wezwani do tego przez Younga, z wielką chęcią wzięli ci rybacy na siebie obowiązek pilotów i przeprowadzili „Search'a“ przez las trzcinowy do miasta Marengi — przed którem brzeg, jak oko zasięgło, roił się mrowiem czarnej ludności, oczekującej na zbliżenie się cudzoziemców. Young podniósł na pozdrowienie czapkę — poczem zawołał, że jest Anglikiem, przybywającym do nich w najprzyjaźniejszych zamiarach — i na to oświadczenie, przyjęty został oklaskami i okrzykami radości.

Natychmiast po wylądowaniu, rozkazał Young zaprowadzić się do naczelnika pokolenia, Marengi. Doprowadzony, ujrzał przed sobą starego człowieka niesłychanej tuszy i dobrotliwego wyrazu twarzy, który sądząc z całej powierzchowności jego, musiał brać życie z najweselszej strony i dni swoje pomiędzy pijatykę a sen dzielić. Ujrzawszy cudzoziemca przed sobą, pochwycił go za rękę i potrząsnął nią silnie; było to więc angielskie pozdrowienie, którego jedynie od Livingstone'a mógł się nauczyć. I pierwszem też słowem, z jakiem się zwrócił Marenga do Younga, było zapytanie o zdrowie swego starego przyjaciela i wyrażenie żalu, z powodu jego nieobecności w tej chwili. Gdy zaś usłyszał, iż celem Younga jest wyszukanie go, lub przynajmniej zasięgnięcie o miejscu jego obecnego pobytu dokładnych wiadomości — opowiedział mu, nie czekając zapytań, wszystko co o Livingstonie i jego dalszej podróży wiadomem mu tylko było. Livingstone przybył do niego z kraju, naczelnika Mapondy, (Mpondy), i dwa dni u niego bawił.

Poczem Marenga pożyczył mu pięć kanoe, do transportu jego pakunków przez trzcinowe bagniska, ludzie zaś z wysp „Joanny“ mieli podążyć za nim drogą po wybrzeżu. Na wielkie jednak podziwienie jego Muza ze swoimi ludźmi powrócił nazad i oświadczył mu, że jest Arabem, że pomagał aż do tego miejsca Livingston'owi, teraz zaś podąża z powrotem ku brzegom morza. Lenistwo a może i trwoga były widocznie powodami, które tych tragarzy skłoniły do opuszczenia swego pana, do powrotu na Zanzibar i rozpowszechnienia tam kłamliwej wieści o zamordowaniu Livingstona, dla ukrycia i usprawiedliwienia zdradzieckiego swego z nim postąpienia. Że jednak Livingstone, nawet po opuszczeniu go przez Muzę, ciągnął dalej spokojnie obraną drogą, potwierdziło wielu tuziemnych tragarzy, którzy mu dalej jeszcze po tem zdarzeniu towarzyszyli.

Co się tyczy Younga, zebrawszy tyle dotąd wiadomości tyczących się Livingstone'a i przekonawszy się, że żyje — osiągnął już w głównej części swoje zadanie i mógł teraz poświęcić trochę czasu na rozejrzenie się w otoczeniu domowem wielkiego naczelnika. Gruby Marenga należał z pochodzenia swego do ludu z Babizy, słynącego we wszystkich krajach, w okrąg jeziora Niassa rozrzuconych, ze swego przedsiębiorczego umyslu, ze swego męztwa i dalekich podróży. Jego to ziomkowie największą część niewolników i kości słoniowej z środka Afryki do Kiloa, Ibo i do Mozambiku dowożą. Regułą ich jest nie pozwalać, ani się samym dopuszczać zaprzedawania swoich własnych ziomków w niewolę i ztąd ich naród jest potężniejszym od wszystkich innych sąsiednich plemion.

Przy Marendze istotnie z dalekich i bliskich stron skupiła się mnoga drużyna, tak że wówczas był on najpotężniejszym księciem na południu jeziora Niassa. W kole swoich dobrze wykarmionych czterdziestu żon, które Youngowi przedstawił, wiódł nader przyjemne życie. Wszystkie one starały się pana swego utrzymać w możliwych wygodach i zaopatrzyć go w taką ilość Pombe (piwa) jaką tylko wypić był w stanie. Piwo to bowiem było słabą stroną Marengi, tak że bywał co najmniej 365 razy na rok pijany. Ale poznać to można było po jego olbrzymio zażywnem ciele, że mu i sytnych pokarmów także nie brakowało. Young, ażeby dostać jakich wiadomości od Marengi, musiał zawsze chwytać chwilę, w której ten potężny władca wytrzeźwił się trochę i wtedy okazywał dla Younga największe zaufanie. Raz wziął Younga na bok i zwierzył mu się, że nabił swoją strzelbę tak potężnym czarem, iż niechybnie każdego do kogoby strzelił, zabić musi. Na szczęście starca, opatrzył Young ładunek flinty, która przy strzale wprawdzie nie byłaby zabiła tego, do kogo by ją wykierowano, ale swego strzelca niezawodnie byłaby na kawałki rozniosła. Przy wyciągnięciu ładunku wyszło najprzód blisko 7 centymetrów pewnego gatunku płótna okrętowego, potem kawał żelaza, potem massa złożona z różnych rzeczy, która ową czarodziejską strzelecką medycynę stanowiła. Składała się ona z ludzkiego mózgu, wężowej skóry i rycinowego olejku, na maść zarobiona i czerwoną okrą zafarbowana.

Potem wyszła znowu massa pakuł i garść grubego prochu, któraby raczej do małej armatki niżeli do flinty się przydała. „Cóż nie prawda, że taki nabój napewno kogoś zabije?“ rzekł Marenga, a Young musiał mu przyznać słuszność. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

BITWA POD GRUNWALDEM.

(Dok.) Poprzednie obrazy mistrza krakowskiego, z wyjątkiem Skargi, który tłumaczy się najzupełniej, potrzebowały zawsze obfitego komentarza, bez którego trudno by je zrozumieć. Pochodziło to ztąd, że artysta nie stawiając na planie wybitnym bohatera głównego, lecz umieszczając jednego gdzieś na ziemi, (Rejtan), drugiego za grupą przysięgających dostojników, (Zygmunt August w linji), wreszcie trzeciego na samym końcu i w dole, (Batory), rozbijał tem kompozycję na kilka obrazów odrębnych, wśród których ginęła nić przewodnia. W jednym Skardze, bohater sam, ks. Skarga, stojąc na podwyższeniu, zkąd gromy rzuca, wznosi się ponad wszystkich i jasno wypowiada przewodnią myśl artysty. Gdyby Skarga miał koloryt, byłby arcydziełem skończonem. W „Grunwaldzie" artysta wywiązał się pod tym względem nie mniej znakomicie. Witold, pędzący na koniu przez środek obrazu, jest postacią tak wybitną i kreacją tak potężną, że oko widza najpierw na niego pada, najdłużej przy nim się zatrzymując. Nie potrzeba znawcy, aby poznać, że ten książę w szacie karmazynowej, to wódz, który zwyciężył, to tryumfator! O tem świadczą nie tylko jego ruchy, lecz także wyraz ust, twarzy i oczu, z których bije cała wielkość czynu spełnionego. Witold, to apoteoza rycerza słowiańskiego, który wie, że od Niemców grozi nam niebezpieczeństwo największe.

To, co się dokoła dzieje, dzieje się li z woli księcia i przez niego. On sam powiódł w bój zastępy i te zastępy zwyciężyły! A że zwycięztwo jest pełne, któż o tem może wątpić! Fałszywi obrońcy krzyża wszyscy bądź już zginęli, bądź właśnie giną, a ich wódz, ten butny Ulrich Jungingen, i on za chwilę będzie między poległymi. Zwycięztwo Polaków i Litwinów widne więc na każdym kroku.

Co do charakterystyki poszczególnych osobistości, to z zadania tego artysta nie mógł się świetniej wywiązać, Obok Witolda, którego fizjognomia, jako bohatera głównego, jest najbardziej wyrazistą i skrupulatnie wykończoną, widzimy prawdziwie żołnierską głowę Kunaszowskiego, twarz Zyndrama z Maszkowic, na której obok rozumu maluje się radość ze zdziwieniem zmięszana, gdy nagle przed sobą W. Mistrza obaczył; dalej uderza nas roztropne oblicze Skarbka, usiłującego pochwycić księcia Szczecińskiego, którego profil surowy zdradza ufność w siłę fizyczną; a jeszcze dalej spotykamy zawziętą fizjognomię Zyszki, chytrą Tatara, na pół idjotyczną Markwarda, i przestraszoną biskupa Lubecańskiego. Najmniej wyraziście wypadła głowa W. Mistrza, która bądź co bądź powinna by równoważyć głowę księcia Witolda. Wszak to dwaj wodzowie dwóch wojsk olbrzymich, więc godni siebie zapaśnicy. W. Mistrz powinien być przynajmniej dumniejszym.

Jeźliby kto zrobił uwagę, że na obrazach dawniejszych Matejko pokazywał nam osobistości o charakterach więcej odmiennych a wybitnych, w takim razie musielibyśmy odpowiedzieć, że inaczej przedstawiają się ludzie na kazaniu (Skargi), podczas przysięgi uroczystej (Unja), wśród burzliwych obrad sejmowych (Rejtan), po zwycięztwie w obozie (Batory), a inaczej wśród walki zamętu. Tam okazuje każdy, jaki ma charakter, tu zaś jakie nim włada uczucie: czy zemsty, czy trwogi, czy bolu, czy tryumfu! Bitwy nie można inaczej pojąć. Bitwa to nie szkoła charakterów, to widownia ludzkich uczuć i namiętności.

Rysunek Jana Matejki oryginalny, zuchwały, powiem nawet brutalny czasem, dzięki któremu artysta tak niezrównanie odtwarza surowe postacie historyczne, nigdzie może nie okazał się tak odpowiednim, tak jedynym, jak właśnie w „Grunwaldzie". Ta linja niespokojna, przypominająca linję Michała Anioła, o której swego czasu obszernie pisałem, 1) nie wyprowadza szczęśliwie postaci idealnych, kobiecych lub dziecięcych, lecz za to wywołuje ona z grobów wielkich królów, wodzów i żołnierzy. W „Bitwie pod Grunwaldem" widzimy takich bohaterów legjon cały. Każdy z tych, co tam walczy, to nie dzisiejszy żołnierz, to bohater z wieków rycerskich, o żelaznych muskułach i sercu niezłomnem, dźwigający bez trudu zbroję stalową i narażający codzień swoje życie.

A mimo, że walka wre w czasach średniowiecznych, kiedy to namiętności były stokroć gwałtowniejsze, niżeli za dni naszych, mimo że ludzie ówcześni nie wiedzieli, co litość — artysta ze strony tak szlachetnej ujął bitwę całą, że zaiste sam Rafael nie wywiązałby się pod tym względem zaszczytniej z trudnego zadania. Michał Anioł jest już więcej realnym, powiedziałbym nawet więcej — brutalnym, w sławnym „Sądzie ostatecznym". W „Grunwaldzie" nie ma ani jednej postaci wstrętnej, chociaż w każdej bitwie jest ich tyle; krwi zaś, która obrzydzenie budzi, mimo że się tam jej lały strumienie, prawie nigdzie nie ma — słowem wszędzie widzimy piękno, będące pierwszym dogmatem sztuki prawdziwej. Tylko raz jeden artysta patrzył przez palce na piękno i to wtedy, gdy pozwolił Tatarowi schwytać Markwarda na lasso, jak tabuna stepowego. Bez tego epizodu, chociaż zresztą bardzo oryginalnego, kompozycja mogła śmiało się obejść. Jest to jedyna scena nieestetyczna. Natomiast nawet ci, którzy konają, są trafnie pojęci i wykonani.

Czy mam mówić o kolorycie, który u Matejki nigdzie nie był bogatszym i nie zlewał się harmonijniej? Wszystkie barwy, jakie fantazja najbujniejsza może sobie wyobrazić, znajdziecie na tem płótnie wspaniałem; a mimo to kolory nie kłócą się, nie rażą, owszem łączą się najspokojniej, tworząc całość niezrównaną. Jakie tam atłasy, jedwabie, złoto, klejnoty! W dodatku zbroje, najdawniejsze hełmy, kolczugi, misiurki, włócznie, kirysy, buzdygany, miecze, słowem wszystko, co w owych wiekach było chlubą rycerza, a co on niósł na wojnę, która była dlań uroczystością, świętem największem. A jakie tam konie! Zapytajcie Kossaka, a on wam powie, czy wymalował kto lepsze i piękniejsze.

Kto chce zobaczyć największe arcydzieło rysunku i perspektywy powietrznej, ten niech spojrzy na staruszka zabitego, który leży na lewo od widza. Artysta wymalował tę postać w skróceniu, ku nam głową, a mimo to dzięki przedziwnej perspektywie, patrzący widzi całego i to słusznego mężczyznę. Podobnej figury nie znajdziecie na żadnym obrazie ani dawniejszym, ani współczesnym.

Cała prawie część obrazu, począwszy od Tanenbergu, a skończywszy na zapaśnikach walczących z sobą na pięści, jest co do perspektywy wykończona bardzo starannie; za to druga połowa zostawia pod tym względem nie mało do życzenia. Tu brak tła, brak przestrzeni. Niezbyt szczęśliwie wypadł także

profil twarzy księcia Szczecińskiego; bardzo długo trzeba patrzeć i szukać, zanim oko znajdzie tę fizjognomię. Co do proporca złamanego, który wyleciał w powietrze, aż pod samego św. Stanisława, zjawiającego się w obłokach, według legendy współczesnej, to kompozycja mogła śmiało obejść się bez niego i całość nic by na tem nie straciła. Ten proporzec razi, a do ożywienia nad wszelki wyraz żywego obrazu, bynajmniej się nie przyczynia.

Jeszcze jedna uwaga. Witold pędzący środkiem obrazu, jest postacią oderwaną, artysta bowiem nie połączył księcia ściśle z otoczeniem. Gdyby tuż za nim pędziło kilku innych jeźdźców lub gdyby obok wodza znajdowali się wojownicy, zajęci jego osobą, wtedy widz jeszcze łatwiej by zrozumiał, że Witold jest zwycięzcą, tryumfatorem, bo cwałuje na czele orszaku zwycięzkiego.

Mimo tych usterek, bez których nic obejść się nie może, boć na świecie nie ma nic doskonałego, a każde dzieło ludzkie musi mieć wady, mimo tych usterek powtarzam: „Bitwa pod Grunwaldem“ jest arcydziełem skończonem, nie mającem sobie równego w historji sztuki malarskiej. „Bitwa Konstantyna“ Rafaela stoi na jednym biegunie, jako dzieło pełne spokoju klasycznego; „Grunwald“ zaś Matejki stanie na drugim biegunie, jako utwor pełen życia dramatycznego.

W „Grunwaldzie“ Jan Matejko wzbił się w najwyższe regiony sztuki, tam, gdzie wzniosłość króluje.

Kiedy chodząc po sali, nie mogłem wstrzymać się od okrzyków zachwytu i uwielbienia, zbliżył się do mnie pewien krytyk niemiecki, a wszcząwszy rozmowę o obrazie i wynurzywszy swój żal, że Matejko tak „niewdzięczny“ obrał sobie temat, zakończył temi słowy: — A jednak muszę wyznać, że ten obraz więcej mi się podoba, jak Karol V. Mackarta.

Kto słyszał pochwały sypane Mackartowi przez krytykę niemiecką podczas wystawy paryzkiej — za jego offenbachjadę malarską, nazywającą się „Wjazdem Karola V. do Antwerpji“; komu wiadomo, że Niemcy Mackarta swoim Tycjanem nazywają, chociaż Mackart jest zaledwie zdolnym dekoratorem, ten musi przyznać, że sąd owego krytyka niemieckiego, który w „Grunwaldzie“ znalazł więcej, jak w Karolu V., jest bardzo doniosły. Wielkich zalet musi być dzieło, kiedy Niemcy bezstronni tak je chwalą, mimo, że Matejko obudził niem tak przykre dla Niemców wspomnienia.

Zaiste „Grunwald“ jest największem arcydziełem, jakie sztuka malarska wydała po Rafaelach i Buonarottich, i tylko żałować należy, że nowy ten pomnik naszego genjuszu nie był na tegorocznej wystawie paryskiej. *Józef Rogosz.*

POGADANKA.

Literaturze naszej brak jest jednego działu, pielęgnowanego z wielkiem powodzeniem przez anglików i niemców: stanowią go powiastki, gawędy; humoreski, bajki i tp. pisane umyślnie „na gwiazdkę“. Księgarz-wydawca w Londynie lub w Lipsku póty nie ma spokoju, póki mu się nie uda najdalej do końca września zdobyć jaki manuskrypt tego rodzaju od którego z autorów chętnie czytywanych; a już od początku listopada kolumny inseratowe dzienników przepełnione są anonsami zapowiadającemi pojawienie się rozmaitych publikacyj „na gwiazdkę“, dla wszystkich stanów, wieków i gustów, i po różnych cenach, od półszylinga (30 ct.) do gwinei i wyżej. Tygodniki ilustrowane, jak Graphic, albo Illustrated London News, oprócz zwykłego numeru sobotniego, wydają na dzień Wilii Bożego Narodzenia osobny numer świąteczny, którego okładka chromolitografowana, ozdobiona gałązkami jemioły, tego mistycznego ziela druidów, z daleka już zapowiada naturę wydawnictwa, podczas gdy treść wraz z rysunkami ściśle także zastosowaną jest do okoliczności. Tutaj np. widzimy rodzinę pastora, zgromadzoną w kuchni. Na środku stoi ogromny kosz, do którego treści dobiera się skwapliwie młodsza dziatwa. Obok, szanowny duszpasterz, trzymając okulary w ręku, bez ich pomocy czyta list, opatrzony ogromną herbową pieczęcią; przez jedno ramię żona, a po pod drugie starsza córka biorą udział w tej lekturze, podczas gdy w głębi kucharka częstuje szklanką ale olbrzyma w liberji. Rzecz jasna: mylord, pan całej okolicy, przysłał jegomości na święta cały garnitur zwierzyny ze swoich parków, a musiał przytem nie zapomnieć, od siebie i od mylady dołączyć ukłony dla jejmości i dla miss Mary, bo obiedwie uśmiechają się z zadowoleniem. Niewątpliwie też młoda Lady Arabella albo Eleanor zaprasza miss Mary na pojutrze do zamku, gdzie będą miały „a little dancing“. Przeciętny anglik, albo i nie anglik, patrząc na tę rycinę z życia wziętą, w szczegółach po chińsku wierną, chociażby był najsroższym radykałem i najokropniejszym ateistą, musi powiedzieć sobie w duchu, że pastor wydaje się bardzo zacnym pastorem, że jego rodzina jest bardzo miłą rodziną, i że wszyscy są bardzo szczęśliwymi w tej chwili, z czego wynika znowu, że milord jest takim gentlemanem i noblemanem, jacy bywali „za dawnych dobrych czasów“, z czego dalej wynika w ostatecznej konsekwencji, że starodawne instytucje angielskie nie są tak złe, jak to nowatorowie głoszą na mityngach. I otóż mamy praktyczność angielską: piękny obrazek z życia rodzinnego, reminiscencją świąteczną, kazanie i propagandę konserwatywną, wszystko na jeden strzał. Ale nie stałoby mi miejsca w Strzesze Ojczystej gdybym chciał opowiadać tutaj to wszystko, co anglicy dostają do czytania i do oglądania na gwiazdkę — wspomnę więc tylko, że i my z wielkim pożytkiem możemy zaglądać do tych wydawnictw, powiedzą nam one bowiem więcej o życiu wewnętrznem, o charakterze i obyczajach tego nadzwyczajnej uwagi godnego narodu, niżbyśmy się nauczyć mogli przez długi pobyt w West-End i przez częste odwiedziny w Epsom, Ascot i Newmarket, gdzie nasze uprzywilejowane klasy studyują zazwyczaj, i wyłącznie „Anglię“.

Wracam do publikacyj „na gwiazdkę“ i powtarzam, że ich nie mamy. Zdarza się wprawdzie czasem książka, polecająca się na okładce jako „kolęda“, ale — „to nie to!“ Rzecz napisana na święta Bożego Narodzenia musi odpowiadać kilku specjalnym warunkom. Najpierw musi być takiej objętości, ażeby zapełniła trzy wieczory, ale też, ażeby trzy wieczory wystarczyły do jej przeczytania. Następnie, cokolwiek opowiada książka, powinno się dobrze kończyć. Nie będą jej czytali panicze i panny szukający „emocji;“ jest to książka dla ludzi potrzebujących wytchnienia, rozrywki, wypogodzenia umysłu. Każdy człowiek ma prawo przynajmniej raz w roku być szczęśliwym, zadowolonym, ile możności bodaj, nie smętnym. Najwięcej prawa ma do tego w dniu Nadziei, w dniu Narodzenia się Chrystusa, jeżeli jest chrześcjaninem, w dniu po-

wrotu słońca, zresztą, jeżeli jest czem innem. Może nie ma rodziny, a tęskni za jej ciepłem — może ma rodzinę, a nie ma, lub nie znajduje w niej szczęścia — może mu jaka ciężka troska przygniata serce — może mu zresztą brak zdrowia, albo pieniędzy. Miałażby jeszcze książka, w której szuka zapomnienia, do własnych cierpień dodawać mu fikcyjne? Na gałęź z autorem, któryby się dopuścił tej zbrodni! — Po trzecie, książka przydatna na kolędę powinna i rozweselać, i rozrzewniać na przemian, nie powinna być ani na wskróś płytką, ani na wskróś głęboką: w chwili, gdy człowiek mimowoli skupia się w sobie, razi go ciągła pustota; a w chwili, gdy pragnąłby być zadowolonym, lub przynajmniej wmówić to w siebie, albo wczytać, nadmiar sentymentu i melancholii nie jest mu pożądanym. Otóż to byłaby dopiero drukowana „gwiazdka nad gwiazdkami", ażebym czytając ją, parę razy miał łzy w oczach, a parę razy zaśmiał się szczerze — tak jak mi to się zdarza czasem, gdy sam piszę, i jak to niestety! nie zdarza się nigdy m o i m czytelnikom... Nadewszystko zaś, książka o której mówię, nie śmie być — nudną. Ostrzeżenie to nie zdaje mi się zbytecznem. Czytałem w starych pamiętnikach francuzkich, że kiedy Henryk Walezy, który drapnął z Krakowa ażeby zginąć w St. Cloud z ręki sfanatyzowanego mnicha — kiedy więc Henryk III., w ponurych komnatach Luwru trapiony był bezsennością, na którą składali się hugenoci i liga katolicka, francuzi i hiszpanie, Henryk Nawaryjski i papież — musiano go kołysać do snu lekturą. Z początku, powiada naiwnie pamiętnikarz, wystarczały książki francuzkie, ale później bezsenność wzmogła się do tego stopnia, że usypiano go, czytając mu co po polsku. Świadczę się historją powszechną, że wówczas jeszcze nie byłem na świecie, i że przeto nie moje „pogadanki" służyły za opium lub chloral arcy-chrześcijańskiemu majestatowi. Należy też zauważyć, że w nowszych czasach, zwłaszcza odkąd „Ruch Literacki" — „otoczył się gronem najznakomitszych współpracowników", polskie pismiennictwo przestało także być usypiającem, i chciałbym widzieć tego barbarzyńcę, albo tego króla, któryby ziewnął przy czytaniu powiastki p. Hasiewicza, albo rozprawy dr. Żulińskiego, albo krytycznych uwag p. B. Zawadzkiego. Mimo to nie da się zaprzeczyć, że zdarzają się u nas i teraz jeszcze książki i czasopisma cokolwiek nudne, i te, jak powiadam, nie kwalifikują się na lekturę świąteczną. A już polityka! Brrr... od dwóch miesięcy nie słyszę o niczem, jak o secesji i nie-secesji, o solidarności i jej braku, mamże sobie jeszcze i święta zatruwać tem młóceniem pustych okłotów w dwa cepy, jeden solidarny, a drugi secesjonistyczny? Jużci, jeżeli komu, to sobie samemu człowiek tak źle nie życzy.

W obec tych trzech dni tedy, w których ten człowiek dla samej już przyzwoitości zostaje w domu, w obec trzech długich wieczorów, byłem prawie w rozpaczy. Przed świętami jeszcze, odczytałem od deski do deski wszystkich moich ulubionych autorów. „Na gwiazdkę" u nas nic prawie nie wyszło. Są wprawdzie powieści „znakomitego naszego" Nudzińskiego, i poezje młodego a natchnionego wieszcza Mgławickiego, ale tak często były ogłaszane i zachwalane w dziennikach, że brakło ich już zapewne w handlu. Nie ma rady, trzeba się wziąć do literatury zagranicznej, ale do której? Z niemcami nie sympatyzuję, udają oni anglików, francuzów, szwedów, ale dorównać im nie mogą. Angielskie książki i dzienniki trzeba dopiero zamawiać, nie ma u nas na nie odbytu, więc nie ma i wyboru w księgarniach. Zostają mi tedy francuzi. Ale francuzki romans, a Boże Narodzenie i nastrój wiljowy, to pojęcia zbyt sprzeczne. A zwłaszcza, nowa szkoła realistów, albo stara sentymentalnych romantyków! Jedna kartka p. Zola byłaby wstanie popsuć mi humor na dwa tygodnie, a samo nazwisko p. Sand sprawia, że złorzeczę wynalazkowi pisania książek nie traktujących o niczem innem, jak tylko o stosunkach między płcią brzydką a piękną, które przecież nie są alfą i omegą tego, co m o ż e, a najmniej tego, co p o w i n n o zajmować ludzi. Cóż więc czytać? Co począć? Tu — myśl szczęśliwa, błoga reminiscencja z lat młodzieńczych przyszła mi do głowy. Napisałem bilet, i łaskawy, litościwy Richter przysłał mi trzy tomiki starego, nieocenionego, niezrównanego Dumasa (ojca.) To mi pisarz! W jego książkach ludzie kochają się, politykują, robią wybornie szpadą, jedzą doskonałe rzeczy, piją znakomite wina, intrygują, spełniają bohaterskie, nieprawdopodobne czyny, popełniają zbrodnie trudne do uwierzenia, a wszystko to opowiedziane tym niezrównanym francuzkim sposobem, którego tradycja już dzisiaj zaginęła, z elegancją wielkiego pana, z fanfaronadą gaskończyka, z bonhomią episjera. Autor z lubością maluje sceny rycerskie, romantyczne, lub charakterystyczne, zatrzymuje się dłużej na momentach ujmujących i zabawnych, a okropności szkicuje tak, że nie rażą, ale tylko kunsztownie uzupełniają opowiadanie, jak cienie zręcznie rzucone. A jakie tam figury przepyszne! Szkoda, że francuzi widocznie przestali czytać starego Dumasa — oficer, który się zapoznał z d'Artagnanem, albo choćby z takim trefnisiem, jak Chicot, nie byłby się dał wziąć prusakom, jak baran, w Metz albo pod Sedanem. Zdaje mi się, że gdybym był francuzem, to Dumas ojciec zrobiłby był ze mnie zawziętego legitymistę, niepoprawnego smakosza i jeszcze niepoprawniejszego rębajłę, i że nie miewałbym t a k i c h pojedynków, jak p. Gambetta.

Na nieszczęście, trzy tomiki powieści „Les quarante-cinq", wystarczyły mi zaledwie do środy rano, a tu, w święto, księgarnia zamknięta, i rób, co chcesz. Wszystkie książki, które mam pod ręką, czytałem wcale niedawno, z wyjątkiem dzieł p. Lama — ale tych przecież nie mogę brać do ręki, bo religia potępia samobójstwo, a krakowskie Tow. asekuracyjne idzie jeszcze dalej, bo nie płaci za policę w takim wypadku. Tu wpadł mi w rękę bilet p. Richtera, przysłany wraz z książkami. Wynikało z niego, że zeszyt „Strzechy Ojczystej" wyjdzie zaraz po świętach, i że drukarnia w piątek rano potrzebuje manuskryptu. Ha, dobrze i tak! Pewnemu więźniowi, który już rok siedział w śledztwie, kazał nagle klucznik wstawać i zbierać się, bo miano go brać na tortury. Chwała Bogu! zawołał delinkwent, znudziłem się jak sto djabłów, to mię trochę rozerwie! — Chwała Bogu, mówię i ja, nie mamy co czytać, więc piszmy, to nas trochę rozerwie. Jużci jeżeli mówię „nas", to ma się rozumieć nas, piszącego, nie zaś szanownych czytelników. Czy nie dosyć, że ktoś pisze w same święta, dla własnej... rozrywki? Litawor był takim bohaterem, że sam Mickiewicz napisał poemat o nim, i o jego żonie, a przecież, gdy była mowa o tem, że powinien znaleźć się szlachetnie w obec Witolda, to zaraz zaczął wysypywać jak z rękawa rekryminacje, że „z dzieciństwa prawie", on, „książę, jak tatar, żył o końskiem mleku" i w ogóle pozbawiony był wszelkiego komfortu. Otóż ja nie jestem bohaterem, jak Litawor, bo najpierw Mickiewicz nic o mnie nie napisał, ale

tylko p. Sawicz Zabłocki napisał raz o mnie taki poemat, że wszyscy myśleli, iż to ja opisałem p. Sawicza Zabłockiego, i śmiali się z nas obydwóch, a potem, bo... no, bo w ogóle nie chcę być bohaterem, i chciałbym wiedzieć, kto mię do tego zmusi? Jako nie bohater zaś, mam tem bardziej prawo narzekać, że jak tatar, a nie jak chrześcijanin, muszę pisać w święta, zamiast czytać. I jak Litawor nie chciał być szlachetnym wobec Witolda, ale tylko wobec siebie tak i ja w tych warunkach zrobię dosyć, jeżeli sam się rozerwę, a nie jeszcze i szanownego czytelnika, zważywszy iż szlachetności podobnej nikt odemnie wymagać nie może, i zważywszy nadto, że byłaby ona nad moje siły.

Zresztą tym razem na prawdę i najobfitszy w pomysły pogadankarz byłby w ambarasie, o czem pisać, bo od niedzieli do dziś, tj. do środy, nie mogło pojawić się nic nowego na widokręgu literackim, artystycznym, społecznym i td. Gieniusze muzykalne, które przyszły na świat w przeciągu tych trzech dni, nie miały jeszcze czasu dać koncertu w sali ratuszowej. Literatura nasza, to nie rewolwer, palący raz po raz — sam Chochlik nawet, którego twórczość i płodność wprawia przecież całą Europę w podziwienie: sam Chochlik, mówię, kiedy jeszcze wychodził, pojawiał się, ot tak, raz „na Swięty Józef“, potem na „Święty Jan“, potem na „Święty Michał“, a potem — wcale nie. Jeden J. I. Kraszewski sypie u nas książki jak z rękawa, ale o Kraszewskim ja znowu nie porywam się pisać, ani mi też wolno: miałbym się z pyszna ze strony tych wszystkich panów, co sławę Kraszewskiego wzięli w monopol i wymownem milczeniem dali mi do zrozumienia, że ich spółka obejdzie się bezemnie! Nie mam więc żadnego a żadnego nowego przedmiotu z dziedziny literatury, o którym bym mógł pisać. Wyszedł wprawdzie zapowiadany w poprzednim zeszycie Warchoł, ale po przejrzeniu tego pamfletu przekonałem się, że połowę jego zapisał znowu p. Lam, a nadmieniłem już, że z zasady nie czytam pism tego pana, tem mniej zaś mogę je krytykować. Jeżeli więc doniosę, że na wystawie obrazów Kunstvereinu wiedeńskiego pojawił się nowy obraz Brandta, przedstawiający „obóz polski z dawnych czasów“, jakoteż. że ks. Bismark „zgrocholił się“, przecież raz, listem pisanym do Rady Związkowej i pełnym banialuk ekonomicznych takich, że i we Lwowie lepszych nie wymyślą — to wyczerpałem już wszystkie nowiny i mogę przystąpić do referowania zaległości.

Zobowiązałem się w mojej pogadance w ś. p. „Strzesze“ uzupełnić pobieżne moje uwagi o drugiej serji „Chorób Galicji“ p. J. Rogosza i winien jestem tem bardziej uiścić się z obietnicy, gdy oprócz zalet, wspomniałem i o usterkach tej książki. Że autor przedstawia często nagą prawdę bez najmniejszego, ale to powiadam, bez najmniejszego kostjumu, z tego niżej podpisany najmniej ma prawo czynić mu zarzut, chociaż znajdą się tacy, którzy mu to wezmą za złe. i chociaż mógłbym za przykładem pewnego kaznodziei powiedzieć: „Najmilsi parafjanie, róbcie to, co ja mówię, ale nie róbcie tego, co ja robię.“ Inkulpat nie ma prawa powoływać się na to, że „pan sędzia sam taki“. Nikt tak wymownie nie umiał potępiać literackiej bohême, jak — śp. Dzierzkowski. Znam pewnego kronikarza, o którym natchnieni lirycy i inne piękne duchy opowiadają ze zgrozą, że często rano dopiero wraca do domu, i to nie prosto, a jednak w pismach jego nie znalazłem ani tysiącznej części tej niemoralności, ile każdy z nich zwykł zamykać w najmniejszym wierszyku, pod postacią nieokreślonej aspiracji. Ale mniejsza o to. Zarzuciłem autorowi „Chorób Galicji“ właściwie tylko, że miejscami jest jednostronnym. Zarzut ten odnosił się do ustępu o kwestji ruskiej, tj. do rozdziału p. t. „Na wsi.“ P. Rogosz ma słuszność, twierdząc, że wielka, największa może część nieporozumień i niezgody pochodzi z tąd, iż nasi squire'owie i ich panie nie umieją z księdzem unickim i z księdzową żyć tak, jak to na owym obrazku, o którym wspomniałem na wstępie „mylord, mylady, and the young ladies“ żyją z rodziną of the reverend, w podobnych bardzo warunkach, bo np. w Anglii prawo patronatu istnieje tak dobrze, jak u nas Drugiem nieszczęściem, co do kwestji ruskiej, są w razie zetknięcia się stron spornych owe dyskusje, prowadzone, zwłaszcza z polskiej strony, najczęściej z grubą nieznajomością rzeczy. Szlachcic, urzędnik, doktor nawet, a już tembardziej aptekarz polak, albo ksiądz łaciński, zna bardzo tylko pobieżnie historję ojczystą, „Wieczory pod Lipą“ i „Śpiewy historyczne“ są podstawą wyłączną jego erudycji. Gliński — udzielny książę ruski, który według wyobrażeń ówczesnych miał prawo zmienić zwierzchnika, jest w jego oczach, jak w oczach śp. Wężyka, takim samym zbrodniarzem stanu, wobec nie W. ks. litewskiego, ale wobec korony polskiej, jakim był Radziejewski w obec Jana Kazimierza, albo Karol dę Bourbon w obec Franciszka I. Powiedziano tu i owdzie w krasomowczym zapędzie, ze w Polsce nigdy nie było prześladowania innowierców, że Rzeczpospolita zawsze dotrzymywała umów, że im dalej wstecz cofniemy się w historji, tem więcej było cnoty, moralności i wszystkiego dobrego — erudyt nasz bierze to wszystko za pewnik niezbity i neguje, jakoby z poduszczenia jezuitów, per fas et nefas, nawracano prawosławnych na unję, jakoby złamano umowę hadziacką i jakoby Sodoma i Gomorra była o wiele gorszą od tego, czego sobie pozwalała czasem butna szlachta, i czem odznaczali się świętobliwi prałaci za piastowskich czasów. Z drugiej strony ksiądz unicki w seminaryum i na parafii później, karmi się Zubrzyckim i innymi pisarzami, ziejącymi nienawiścią do imienia polskiego, przekręcającymi fakta na swoją korzyść, ale zawsze ta stronnicza erudycja jego jest jeszcze prawdziwą erudycją wobec frazesów i ogólników oponenta, i z dyskusji, o której mówię, wychodzi on najczęściej zwycięzko; bo na to, ażeby go pobić, potrzeba nietylko znać historję gruntownie i źródłowo, ale nadto, mieć poglądy szersze na rozwój państw w ogóle, wiedzieć co się gdzieindziej działo, wiedzieć, że tak dziać się musiało, i że polityka polska była najczęściej fałszywą dla tego tylko, że nie dość radziła się własnego interesu. Dlatego też, najlepiej dać pokój takim dyskusjom o przeszłości i debatować tylko o teraźniejszości, a i to wtenczas tylko, jeżeli się na tę teraźniejszość patrzy trzeźwo, bez zbytku sentymentów, bez żadnych uprzedzeń i bez niepotrzebnej trwogi. O tę ciekawą i słabą stronę debat małomiejskich i wiejskich o kwestji ruskiej zawadziły „Choroby Galicji“ zaledwie trochę, autor zapomniał, że Galicjanie w kwestji ruskiej chorują nietyle na złą wolę — owszem, mają często aż za wiele dobrej, jak świadczy uchwała sejmowa co do wniosku śp. Ławrowskiego — ile na nieznajomość przedmiotu i na nieumiejętność w jego traktowaniu. Nakoniec, nie wskazał on, że te dwie figury, spolszczony zupełnie ks. Jasiński i zmoskwicony na

wskroś ks. Mudrykowycz, to tylko dwie najskrajniejsze sprzeczności między Rusinami; nie wprowadził na scenę **g ł ó w n y c h** szermierzy, głównych działaczy tak zwanego obozu ruskiego. A gdzie jest ksiądz Karyerowycz, który do niedawna używał tylko jednego z 17tu języków, wynalezionych od r. 1848 i skoropisu w stosunkach z władzamł i t. p. a który obecnie, widząc, że administracja utrzymuje się w polskim języku i prowadzoną jest głównie przez Polaków, choć brakło hr. Gołuchowskiego, nie chce wprawdzie jeszcze pisać po polsku, ale znalazł pośrednią drogę, i koresponduje po niemiecku, nawet z konsystorzem, który sam pierwszy dał przykład tego czystosłowiańskiego wybiegu? A gdzie ksiądz Hawryło Mudio, który zchłopiał zupełnie, który jest podejrzliwym i ciemnym, narodowości żadnej nie zna, o Bożym świecie nie wie, ale robi tylko to, co mu każe konsystorz i dziekan? A gdzie doktryner-demokrata, który zwątpił, ażeby idea polska przestała kiedy być czem innem, jak tylko ideą oligarchii szlacheckiej, i który z tego jedynie powodu chwycił się ruszczyzny, jako cechy najniższych warstw społecznych, a więc niby „ludu?“ A gdzie marzyciel ukrainofilski, najsympatyczniejszy, a najnierozsądniejszy, i tem samem, często najtrudniejszy do zwalczenia, ze wszystkich? A z drugiej strony, powiedzmy otwarcie, gdzie ten posesjonat-kollator, rzadki, Bogu dzięki, ale przecież pojawiający się tu i owdzie, który targuje się z kandydatami, ile dadzą za prezentę, i z którego zasłużona wzgarda w oczach księży spada na niewinnych jego sąsiadów? Mniemam, że takiej „c h o r o b y“ galicyjskiej, jak tak zwana kwestja ruska, nie należało albo wcale dotykać, albo traktować ją bardzo wyczerpująco.

Nieposplicie natomiast wiernym, szczegółowym i trafnie skreślonym jest obraz defektów, na które cierpi u nas handel i przemysł. Historja kupca Romana Wojowskiego podpatrzoną jest z życia. Ostatni rozdział, traktujący o »lichwie uprzywilejowanej“, jest już więcej niż podpatrzonym, jest on fotografowanym i stenografowanym według zdarzeń prawdziwych tak, że zaledwie nazwiska i po części rysopisy osób są zmienione. Na wszelki wypadek, autor ma **s ł u s z n o ś ć**, mówi prawdę i niestety, nawet ani trochę nie przesadza, o ile mię z wiarygodnej strony zapewniano. Ponieważ zaś złego nie można wykorzenić, nie wskazawszy go w całej ohydzie i nie wskazawszy dokładnie, gdzie go szukać należy, przy której ulicy i w którym domu, więc i dramatyczna nieco forma dyagnozy wydaje mi się w tym wypadku usprawiedliwioną. Muszę jednak nadmienić i to, iż „C h o r o b y G a l i c j i“ pisane są w taki sposób, że ktokolwiek weźmie książkę do ręki, nie odłoży jej z pewnością, nie przeczytawszy do końca.

Zdaje mi się, że jak na te ciężkie czasy, wyekspensowałem dzisiaj już dosyć atramentu i powinienbym chyba skończyć — ale oto wpadła mi pod rękę notatka, już dawno zrobiona. Ponieważ zaś idę dzisiaj w ślad owego wzorowego biurokraty, który korzysta ze święta, „u m d i e R ü c k s t a n d e a u s z u a r b e i t e n“, więc zreferuję jeszcze i ten „kawałek“ mówiąc stylem urzędowym. Oto pojawiają się „Poezje pana Onufrego z Bajek“ których autorem jest p. Leszek Sz. Pominął go wprawdzie w rejestrze „gryzoniów“ autor „zapisków zoologicznych“, zapewne z powodu, iż nie gryzie z profesji, ale tylko z amatorskiego upodobania, ale mimo to mogę zaręczyć, że gryzie on tak doskonale, jak gdyby należał do cechu. Na „Poezje pana Onufrego“ rozpisana jest przedpłata w sumie 2 zlr. którą adresować należy do „drukarni K. Budweisera“ we Lwowie, „taj tylko“, jak powiada p. Onufry. A propos, nie jest że to „znamieniem czasu“, że już i przedmieszczanie biorą się do literatury — a idzie im to tak łatwo, jak owemu **j ó b a g y** madiarskiemu jedzenie ananasów. Nie wiem, przy jakiej sposobności zaproszony on był na wieczerzę do ks. Esterhazego. Po wetach, zerwał się jak oparzony i pędem, przez pola, góry i lasy, leci do domu i budzi na gwałt żonę, która przestraszona, pyta, co się stało? — Wyobraź sobie, na wety u księcia podano ananasy! — No i cóż? — I cóż, wyobraź sobie moja kochana — jadłem; — Ej, czy to być może, pyta zacna połowica, siadając na łóżku — jadłeś ananasy? — Jak Boga kocham, jadłem! — A jakże ty tego dokazałeś, Istvan? — Zębami, édes lelkem, zębami! — *Ce n'est pas plus malin que ça* i w ten sam sposób p. Onufry przystał do „gryzoniów“. Ale teraz już, bizony baratokom, kończę.

Jan Lam.

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA. — WIEDZA.

— **R o m u a l d H u b e**, znakomity prawoznawca i badacz na polu polskiego prawa, napisał dzieło traktujące o prawodawstwie Kazimierza Wielkiego, które uważać można za dalszy ciąg „Prawodawstwa polskiego w XIII. wieku.“

— **P. Z i p p e r**, lwowianin, pełen talentu tłumacz „Marji“ Malczewskiego i „Petersburga“ Mickiewicza na język niemiecki, kończy obecnie dla uczczenia jubileuszu J. I. Kraszewskiego przekład jego „Witoloraudy“. na tenże sam język. Niezmiernie ciekawie oczekujemy na tę nową pracę wiernego druha naszego piśmiennictwa — ciekawie, bo na ten raz p. Zipper ma do walczenia ze znacznemi trudnościami.

P O D R Ó Ż E.

— Wyprawa, która się udała na poszukiwanie złota i zbadanie naukowe Nowej Gwinei, znajduje się, jak donoszą z portu Moresby, w bardzo niepomyślnem położeniu. Trzech członków jej a między niemi i naczelnik jej porucznik Neville — pomarło; reszta zaskoczona żółtą febrą w podróży, w górę rzeki Lakoli.

— Norwegski podróżnik po Morzu Lodowatem G. Johansen odkrył pod 81^0 długości geogr. a $77^0 55'$ szerokości, na wschód od Nowoj Zemli, wysepkę długości $2\frac{1}{2}$ mil, której nadał miano „Ensomheden“ (samotność).

— Aleksander Sibiriaków na parowcu swoim „Lena“, z którym wziął udział w szwedzkiej wyprawie podbiegunowej, szczęśliwie przez Morze Lodowate przebrał się aż do ujścia Leny, a ztąd korytem tej rzeki w górę aż do miasta Jakutska. Do tego miasta, stanowiącego główny punkt w Syberyi, wpłynął jego parowiec dnia 22. Września b. r.

— Znany podróżnik w okolic podbiegunowe, professor Nordenskjöld, po szczęśliwem opłynięciu groźnego przylądka Czeluska, dotarł do ujścia Leny. W Szwecji panuje wielka radość z tej naukowej zdobyczy.

TEATR.

— W dzień nowego roku na wieczornem przedstawieniu w Aidzie, wystąpiła p. Laura Caracciolo, primadonna opery włoskiej, po raz pierwszy w roli Amneris, z wielkiem powodzeniem. Niezwykła siła głosu i bardzo obszerna jego skala, szczególniej w tonach niskich, charakteryzują jej spiew znamienity.

— W dzień nowego roku było w teatrze hr. Skarbka i nowo otwartym w sali sejmowej, na sezon karnawałowy, teatrze „Rozmaitości“, razem osób 2427, z czego przypada na teatr „Rozmaitości“ 276 osób.

— Na konkurs lwowski imienia hr. Fredry nadesłano, oprócz 6 wymienionych już przez nas w tej samej rubryce sztuk, komedję w pięciu aktach „Słowa i czyny“, i dramat „Kto górą?“ „Przypominamy, że konkurs powyższy rozpisany jest na komedje — i że już przeszłego roku odrzuciła komisja kilka dramatów.

— W teatrze paryskim „Vaudeville“ odbywają się obecnie próby z komedji p. t. „Stanislas Bolski“. Jest to przeróbka ze znanej powieści Cherbuliez'a, którą umieszczał przed dwoma laty „Revue de deux mondes“.

— Pani Jakowicka zaangażowaną została na sezon zimowy do Petersburga.

— Sara Bernard, słynna artystka dramatyczna francuzka, której widocznie tryumfy amerykańskie pani Modrzejewskiej spać nie dały, — studjuje gorliwie angielszczyznę, celem wystąpienia na scenie londyńskiej, a następnie i na amerykańskich pierwszorzędnych scenach.

— Komisja teatralna senatu francuzkiego uchwaliła większością głosów 14 przeciw 5, ażeby rząd objął teraz bezpośrednie zawiadowstwo nad wielką operą paryską, mianując ze swego ramienia dyrektora artystycznego, któremu byłaby dodaną do pomocy rada artystyczna. Dotychczas, jak wiadomo, rząd wypuszczał wielką operę w przedsiębiorstwo i płacił przedsiębiorcy ogromną subwencję.

— W obu teatrach lwowskich, Skarbka i „Rozmaitości“ dają już po raz czwarty z powodzeniem wodewil w 3 aktach p. t. „Niniche“ z muzyką Offenbacha, Delibesa i Lecoque. Sztuka ta zawdzięcza nietyle swoje powodzenie lekkiej muzyce co lekkiej... treści!

MODA.

Kaprysy mody częstokroć są tyrańskie i obrachowane na korzyść osób nie całkiem szczęśliwie pod względem budowy obdarzonych od Boga — a ze szkodą tych piękności, które są pod tym względem bez zarzutu; jak to n. p. się zdarzało przy krynolinach, turniurach, zbyt długich sukniach itd. itd.

W bieżącym sezonie moda jest tak wielostronną, tak pełną tolerancji, że chyba zupełny brak dobrego smaku i poczucia estetycznego byłby powodem, gdyby która z dam dzisiaj była niestosownie i bez gustu ubraną. Długie, pół długie i zupełnie krótkie z przodu suknie, ostre, czworograniaste i okrągłe powłoki z tyłu; wysokie, kątowato lub owalnie zarysowane stany — wszystko dozwolone; idzie oto tylko aby ubranie kostjumu dobrze dobrać i harmonijnie pod względem barw i kroju zestawić — z zastosowaniem sukni do okoliczności przy której ma być użyta. Do krótkich i dłuższych nieco sukien, jako wizytowych i na ulicę toalet, używają najwięcej pięknych materji wełnianych z bretonami i długiemi szosami z tyłu i ubraniem z aksamitu, lub też nowo wynalezionem oszyciem z piór, podobnem do futra, które prześlicznie się prezentuje i każdy choćby najskromniejszy kostjum podnosi. Najulubieńszemi barwami materyj wybieranych na podobne suknie są ciemno - bronzowa i mirtowo - zielona lub ciemno - niebieska. Mały kapelusik z ptasią główką (broń Boże! przyp. Redak.) albo z pawiem piórem a także kapelusz à la Rembrandt dopełniają podobnych toalet.

Nowe woalki mają tak nazwaną formę maskową. Dolny ich brzeg jest wyzębiony i często noszą się przehaftowane w kilka rzędów kolorowym jedwabiem dla zastosowania do rozlicznych barw kapeluszy.

Towarzyskie toalety różnią się wielce od balowych. Czarny aksamit z atłasem i brokatem jako ubraniem. Atłas barwy starego złota (vieux or) w zestawieniu, jako z ubraniem, z bronzowo złocistym aksamitem — są ulubionemi materjami na towarzystkie stroje. Brokat używany obecnie ma po największej części i powinien mieć lśniące atłasowe tło, zamiast matowego jedwabnego. Gdzie niegdzie pokazuje się i mora ale bez efektu — najczęściej używają jej tylko do ubrania stroju. Nowszym i bardziej ulubionym materjałem na ubranie sukni jest Peking, z którego robią bretonki do staników długie szarfy z tyłu i oszycia do sukien. Najnowszem przystrojeniem dzisiejszych eleganckich toalet są świetne koronki, naszywane lub oszywane tęczowych barw perłami, z któremi bege i vieux or się mięszają. Szarfy z różowego, błękitnego, czarnego i białego atłasu, lub kaszmiru, oszyte takiemiż perłami lub galonami ze złotych i srebrnych nici i różnobarwnego jedwabiu, są bardzo w modzie.

Na balach widać białą, matowo - różową i śmietankową barwę.

Białe perełki i perłowa macica obiecują bardzo wejść w modę na toaletach balowych. Mówią ogólnie o przystrajaniu sukni balowych młodych kobiet tymi ozdobami. Młodym panienkom radzą najczęściej do ubrania balowego stroju, lekkie girlandy z kwiatów, wijące się po sukni i opasujące jej wcięcie. Suknie tak zwane futerałowe (robes fourreau) wciąż są jeszcze w modzie zbyt są bowiem awantażowne — i zbyt korzystnie uwydatniają prawdziwą piękną budowę ciała, piękny wzrost i figurę — ażeby ich się tak prędko moda wyrzec mogła.

ARCHEOLOGIA.

— Dr. Schlieman z Hissarliku, gdzie dalej prowadzi swe poszukiwania, przybył na krótki czas do Londynu i przywiózł z sobą pewną ilość świeżo wykopanych przedmiotów — pomiędzy któremi znajdują się i drogocenne — aby je do swego zbioru starożytności znajdującego się w South - Kensington Muzeum, dołączyć.

— W pobliżu wsi Voigtstedt przy Sangerhausen, wykopano w ostatnich dniach znaczną ilość rzymskich starożytności. W jednem miejscu znaleziono szkielet ludzki — uderzającej wielkości. Przy nogach jego leżały dwie wielkie srebrne ostrogi i bronzowa czara. Około 20stu kroków z tamtąd, w tejże samej głębi, natrafiono na mnóstwo naczyń bronzowych i kości ludzkich; dalej ukazały się dwa na krzyż na sobie leżące szkielety — a obok nich wielkie naczynie bronzowe i takież drugie, gliniane, — oraz wielka mnogość urn — noszących na sobie ślady ornamentyki pierwotnej.

Rozmaitości.

Zbrodniczy zamach. „Pesti Naplo" opowiada o takim zbrodniczym zamachu, jaki tylko w sensacyjnych, obliczonych na wzbudzenie w czytelniku dreszczu zgrozy, romansach, zwykł się zdarzać.

Zamach ten był przygotowany i wymierzony przeciwko wdowie, hrabinie Kamilli Stubenberg, z domu Jolan-Berzevicza, zamieszkałej w Körtvelyes — i przeprowadzony został w następujący sposób:

Hrabina zamieszkuje sama, ze służbą złożoną z pokojowej, z dwóch dziewcząt do usługi, jednego lokaja i dwóch stangretów, zamek Körtvelyes, będący jej własnością. 22. Listopada z. r. była hrabina na wieczorze danym przez baronową P. w Almas, miasteczku bliskiem jej zamku, i powróciła o północy do siebie. Nim udała się na spoczynek, przystąpiła do toaletowego stołu i — jak zwykła była zawsze robić — zamknęła klejnoty familijne w szufladzie jego. Nagle, gdy przypadkowo rzuciła okiem na wiszące naprzeciw stołu i maskujące niszę w murze wielkie malowidło olejne, które przedstawiało Apollina, zdało się jej, że oczy obrazu się poruszyły.

W pierwszej chwili nie zwróciła nawet na to szczególniejszej uwagi — wnet jednak upewniła się z dreszczem zgrozy, że się nie łudzi, gdyż Apollo, który dotąd, jak zwykle, patrzył w prostym kierunku przed siebie, nagle zamknął oczy, a potem zwrócił je na stojące w rogu pokoju jej łóżko. Hrabina skupiła siły, nie zdradzając zewnętrznie, jako kobieta wielkiej energji, najmniejszej trwogi lub wzruszenia — i rozważyła w jednem mgnieniu oka całą okropność swego położenia. Drzwi jej sypialni zzewnątrz były zamknięte, ponieważ klucz, jak zwykle, wzięła z sobą pokojowa, mieszkająca na drugiem piętrze zamku. Sznur zaś od dzwonka ktoś przeciął, jak się o tem naocznie przekonała. Tak zdawszy sobie sprawę z swej obecnej sytuacji, spojrzała znowu na obraz. Obadwa oczy jego spoczywały nieruchomo na niej i śledziły za jej ruchami. Po chwilowem zastanowieniu, przystępuje hrabina znowu, jak gdyby nic osobliwego nie zauważyła, spokojnie do stołu, wypróżnia szufladę i kładzie klejnoty wraz z pieniądzmi jedno koło drugiego na stole, a potem układa się pozornie z zupełną naturalnością do spoczyuku: wielkiej jednak lampy nie odważa się zagasić. Nieruchomo leży w łóżku i z bohaterską odwagą oczekuje, co nastąpi.

Nagle słyszy lekki szelest w stronie, gdzie wisiał obraz i widzi, że tenże porusza się w ramach; potem odsuwa go ostrożnie jakaś ręka na bok i z za obrazu występuje człowiek, który rzuciwszy przelotnem spojrzeniem na znajdujące się na stole klejnoty i pieniądze, posuwa się następnie bez szelestu do jej łóżka, z nożem w prawem ręku. Hrabina nie śmie się poruszyć. Straszny gość nocny stoi przez kilka sekund przy łóżku, jak gdyby nie był jeszcze zdecydowany, co ma uczynić. Hrabina ma przez chwilę przeczucie czegoś, co jej okropniejszem zdaje się od śmierci, bo twarz złoczyńcy pała, pierś dyszy ciężko, a oczy lśnią demonicznym ogniem. Hrabina jednak, mimo najwyższej trwogi, leży nieruchomie, udając osobę pogrążoną w śnie głębokim. Nagle złoczyńca pochyla się nad nią — hrabina czuje jego gorejący oddech i w mgnienie potem zuchwalec wyciska pocałunek na jej ustach. Hrabina ma już krzyknąć ze zbytku przerażenia; lecz w tejże chwili łotr ów prostuje się napowrót, przystępuje do stołu, z którego zabrawszy klejnoty i pieniądze i ukrywszy je w kieszeni, otwiera wytrychem drzwi i niknie. Hrabina, która po tej przerażającej scenie o śnie ani myśleć mogła, przeleżała spokojnie aż do poranku, oczekując przyjścia pokojowej. Gdy ta się zjawiła, hrabina nie wspominając jej ani słowa o swej przygodzie nocnej, wydała rozkaz, aby stangret, którego imię wymieniła, natychmiast po śniadaniu zaprzęgał, i zjadłszy śniadanie wyjechała do Almas. Przed dyrekcją policji kazała się zatrzymać powozowi i skinęła na stojącego przed bramą trabanta policyjnego, rozkazując mu aresztować siedzącego na koźle stangreta swego. Przed sądem zeznała następnie, że to jej własny stangret w nocy ją obrabował. Poznała go ona odrazu, gdy wyszedł z za malowidła, ale obawiając się być zamordowaną przez niego, gdyby spostrzegł, że go poznaje — udała sen głęboki. Sędzia słuchał, pełen podziwu i uwielbienia dla zimnej krwi, mężkiej prawie odwagi, przytomności umysłu i daru panowania nad sobą, jaki ta szlachetna dama w tak strasznej chwili okazała — a wysłuchawszy rozkazał natychmiast wybadać złoczyńcę. Wszystkie klejnoty i pieniądze odnaleziono. Złodziej zakopał jeszcze w nocy swoją zdobycz w zamkowym ogrodzie. Hrabina stała się bohaterką podziwianą przez długi czas w towarzystwach, do których należała, i budziła nawet w wielu damach zazdrość, że nie one doznały tak sensacyjnej awantury.

Passażer zamknięty w magazynach okrętowych. Niedawno temu przybył parowiec „City of Chester" z Anglii do portu nowojorskiego. Wkrótce po spuszczeniu kotwic, otwarto magazyny okrętowe dla wyładowania z nich przesyłek i towarów. Jakież było zdziwienie majtków, gdy na samym spodzie okrętu, w jednym składzie, który otworzyli, ujrzeli nagle, jakby obmurowany pakami towarów, szkielet żyjący człowieka! Trupio był blady i wynędzniały. Zdawał się już zupełnie pozbawiony życia; gdy jednak świeże powietrze napłynęło do składu, życie doń powracać zaczęło. Nagle wybuchnął jękiem, budzącym dreszcz zgrozy, i natychmiast popadł znowu w omdlenie. Użyto dla ocucenia go szybko działających środków, zdawało się jednak, że lada chwila umrze. Powoli, powoli przyszedł znów do siebie i odzyskawszy mowę, przerywanym i ledwie dosłyszalnym głosem zeznał, co następuje:

„Przybyłem ze Szkocji, na dzień przed odpłynięciem parowca, będąc w stanie pijanym, zeszedłem na spód okrętu, gdziem zasnął. Pogrążony w głębokim śnie, nie słyszałem, że tymczasem obstawiono mnie pakami towarów i zamknięto. Oprócz butelki w h i s k y, nie miałem przy sobie żadnego środka pożywienia. Cierpienia głodowe, jakie przeżyłem, są do nieopowiedzenia. Już piątego dnia straciłem zupełnie przytomność". — Tu skończył. — Straszna rzecz! Cała podróż parowca trwała 11 dni — a więc przez 11 dni człowiek ten utrzymał się przy życiu, bez żadnego pokarmu, w tak duszącem powietrzu. Pomimo krytycznego położenia, w jakiem się tak długo znajdował, jest nadzieja, że przyjdzie do zdrowia.

Wyborny sposób kwestowania. Pewien kolorowy kaznodzieja w Georgji rozpoczął służbę Bożą od ogłoszenia składki na cel dobroczynny i w końcu dodał: „Tylko na miłość Boską, niechaj ten — ktokolwiek on jest — co ukradł wczoraj owcę masterowi W. nie składa nic na talerz!" Wszyscy wierni, obecni w kościele, bez najmniejszego wyjątku, zapłacili składkę.

Znaleziony sułtan. Jak wiadomo, potrzeba wiele fachowej znajomości rzeczy i fantazji do odczytania osobliwych adresów, znajdujących się niekiedy na listach. Centralny urząd pocztowy w Paryżu dowiódł w tych dniach prawdziwego mistrzowstwa w odczytywaniu podobnego adresu. Przyszedł tam list pod adresem: „Monsieur Girard Sul tan, Crète". Rzecz była zgoła niezrozumiała i całe bióro zwołano na walną naradę, co ten adres znaczy. Wyspa Kreta była im znajoma — ale nie sultan na Krecie; a nazwisko Girard wyglądało znacznie więcej na francuzkie, niż na kreteńskie. Ostatecznie nic nie pozostawało do zrobienia, tylko list na próbę posłać do Krety. Na Krecie jednak całej nie było żadnego Girarda i list przejechawszy morze Śródziemne, powrócił znowu do centralnego urzędu pocztowego w Paryżu. Nikt nie zrozumiał adresu, jak przedtem. Jednemu z urzędników jednak zagadka ta nie dała spokoju. Myślał i myślał, nareszcie uderzył się w czoło, chwycil za kapelusz i podążył do ministeryum marynarki.

— Czy jest jaki okręt Tancréde we francuskiej marynarce — spytał.

— Tak, w porcie Brest, odpowiedziano mu.

— A czy jest kto na tym okręcie nazwiskiem Girard? Urzędnik przeszukał księgi i rzekł: — Jest oficer. — Urzędnik pocztowy pobiegł napowrót do biura. — „Mam tego przeklętego sułtana na Krecie!" — krzyknął, wpadając tryumfalnie. — Jakiego sułtana? spytano z podziwem. — A, Girarda! — Teraz wszyscy zrozumieli. Adres był przekręcony ortograficznym błędem — i zamiast brzmieć „Monsieur Girard sur le Tancréde" — Panu Girardowi na Tankredzie, brzmiał: „Monsieur Girard Sul-Tan Crète." — Co to jest węch pocztowy!

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.